WIDNOKRĄG

UKAZUJE SIĘ Z „NOWINAMI RZESZOWSKIMI" Nr 24 (250) 16 czerwca 1968 r.

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Krystyna Świerczewska

TEATR AKTOREM STOI

VII

Skończyły się VII Rzeszowskie Spotkania Teatralne i żaden spektakl nie powótrzył sukcesu Buchnerowskiego „Woyzecka", dwóch „Przepióreczek" — lubelskiej i warszawskiej, „Myszy i ludzi" czy „Burzliwego życia Lejzorka Rojtszwańca". Wymieniam je bez troskliwości o chronologię, ot, po prostu tak jak podrzuca mi pamięć, nieskora do zatrzymywania rzeczy przeciętnych — żywo pracująca, gdy spektakl poruszył obszar wyobraźni czy intelektu.

Mieliśmy na tych Spotkaniach właściwie wszystko i przypuszczam, że dalej obowiązywało teatry kryterium wystawiania spektakli najciekawszych zapisanych w sezonie. Nie lubiąc pustych słów, opatrzonych nie sprawdzonym znakiem zapytania — kryzys teatru? — nie mogąc hipotezy przekształcić w pewnik, wolę odejść od repertuaru, który, różnorodny, mimo tę różnorodność nie olśniewał; od inscenizacji — bo świetnych zbyt mało dostrzegłam, a pozostać bodaj raz przy aktorstwie, gdyż właśnie ono trwa ponad mody i ponad poszukiwania reżyserske, tworzy zamknięte całości często w niespoistych inscenizacjach, odurza, jeżeli eksperyment osobisty ubierze w żelazną konsekwencję i często przesądza o wartości przedstawienia.

Czym byłyby obie wspomniane „Przepióreczki" bez mądrej goryczy Holoubka czy nerwowego wdzięku Machulskiego? Czym „Woyzeck" bez Pieczki — estetyzującego brzydala, czym „Myszy i ludzie" bez jego Lennie Smalla? Jakiż wymiar miałaby postać krawca z Homla, którą Rączkowski wyposażył w poetykę, unikając żydłaczenia i gier? Byłyby te spektakle jak piękny obraz, w którym ręka barbarusa wykroiła główny element, psując kompozycję, niszcząc estetykę, siejąc w widzach zwątpienie i niedosyt.

Przeminęły Spotkania i niech mnie bogi bronią, by to co napiszę, miało być ich podsumowaniem. Wybiorę sobie bowiem garść wrażeń o aktorstwie, czasem rzeczywiście zgodnym z koncepcją inscenizacyjną; często stojącym obok zamierzeń reżyserskich bądź z racji jego indywidualności, bądź własnych koncepcji czy poszukiwań i stanowiącym tylko urodziwy szczegół przedstawienia. Dobrze, że pisząc o dorocznym przemijaniu Spotkań zacząć mogę chronologicznie od sztuki o przemijaniu...

„Kosmogonia" — Teatr Słowackiego z Krakowa.

Maria Malicka — nazwisko, które jest historią dobrego aktorstwa i Jerzy Kamas — nazwisko, które rozpoczyna własną historię. Malicka nie była aktorzycą, jak to w rozpaczy, z nadzieją, że rzuca obelgę krzyknął Sewer. Była aktorką, ciepłą, rozumną z granicą przeciętności, dobrą panią Reną. Ładnie, z wdziękiem, z jesienną chmurą w duszy — zupełnie po prostu odsunęła się na drugi plan, robiąc miejsce Sewerowi. I kiedy się zrozumiało ten gest, zagrany przecie pięknie — pozostawał już tylko Kamas.

Kamas samotny, przegrywający, przerażony światem i człowiekiem. Szukał granej postaci.

I w drugiej części „Kosmogonii" znalazł. Jeszcze pamiętałam mu jego słuchanie adagia z kwintetu Schuberta, jeszcze drżał w powietrzu zagęszczonym wydarzeniami ten gorzko-rozpaczliwy motyw, za oknem leśniczówki piały koguty — poezja niczym w „Weselu", gdy w tę chatę rozśpiewaną wdarł się aktor postać budujący, uszlachetniający ją własnym dookreśleniem. Szaleniec, dokonujący wyboru. I ten spokój, gdy wybór zaledwie przeczuwany, stał się postanowieniem; ta ironia, ów dramatyczny ekshibicjonizm! Kamas umierał na naszych oczach: w szczerości, w niemożności przystosowania się, z wyborem, który niczego nie zmieniał, a zwłaszcza nie mógł zapełnić pustki. I budował to gestem rozszalałym w niepokoju, sylwetką, smutkiem twarzy, nic z konwencjonalnej urody nie darowującej widzowi. Starzał się wewnętrznie, protestem tę starość przeznaczoną wszystkiemu co ludzkie usiłując zwalczyć. Przechowam tę rolę w zachwyconej pamięci może właśnie dlatego, że rozmieniła się ona w pamięci publiczności przez fakt, iż była pierwsza, przez atmosferę odświętnej gali wieczoru — niesprzyjającą refleksji.

„Życie snem" — Teatr Polski z Wrocławia.

Spektakl cały zrodzony z konsekwencji i estetyki Skuszanki. Piękna propozycja współczesnego teatru. Trudna propozycja, podszyta pantomimą, urodą gestu, rytmem układów scenicznych i przy niej jednej chciałoby się mówić tylko o inscenizacji, na co własne założenia nie pozwalają. I znowu jeden aktor — Józef Skwark. Widzę go na scenie po raz pierwszy, choć znany z telewizji na pewno nie mnie jednej.

Cóż to był za król! Bazyli — król z fantastycznej Polski i z fantastycznej bajki. Pamiętam je wszystkie — i ilustracje do nich — pamiętam tę z „Króla Midasa" — wypisz wymaluj Skwarka. Ta drobniutka, pochylona postać, zdumione oczka — mądre, wszystkowiedzące oczy, głosik, w którym jest tyleż zmęczenia co zabawy, te nagłe zniecierpliwienia, upychane gwałtownie między zrzędzenie i kaznodziejskie zaśpiewy; ta sklerotyczna nuda i nagła trzeźwość, w której pobrzękuje spiż i zapewne dawne czyny wojownika i wreszcie autoironia, wielka, wszechogarniająca, stwarzająca dystans wobec roli, nie najważniejszej przecież w sztuce, a wyraźnie pierwszej w spektaklu.

„Eros i Psyche" — Teatr Ziemi Opolskiej.

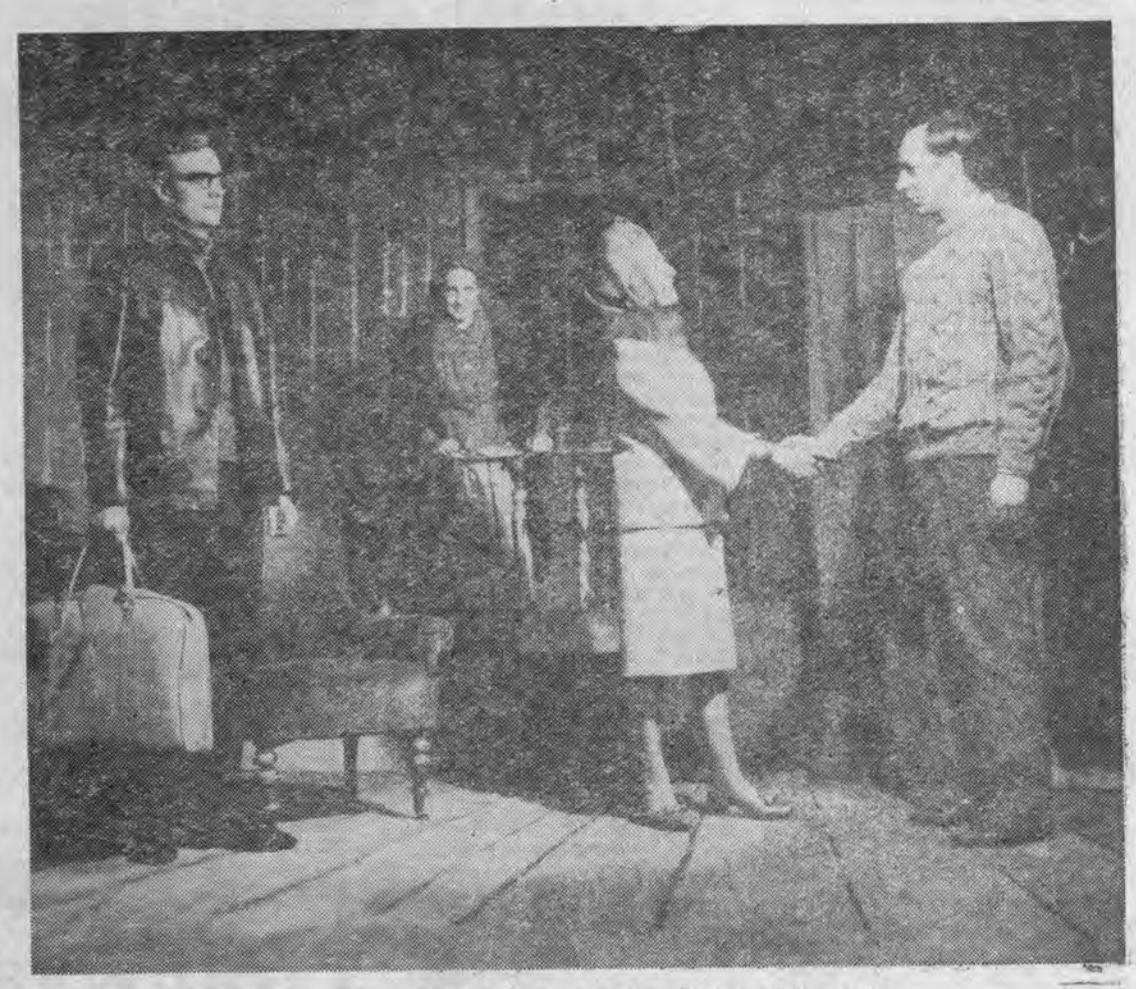

„Kosmogonia" Jarosława Iwaszkiewicza w Teatrze im. Juliusza Słowackiego.

Nie wiem, czy to skutek nieporozumienia, że ta sztuka — nieszuka została wystawiona w adaptacji Wieszczyckiego, czy niezrozumienie neoromantyzmu Żuławskiego zrobiło z niej siedem obrazów niestrawnych, balansujących bez przerwy na granicy dobrego smaku i staczających się pod poziom tegoż? I na tle tego bałaganu inscenizacyjnego, przemieszania stylów, nieurody słowa scenicznego, słabości zespołu, Alicja Telatycka, która przypominała rumaka, co ciągnie jarzmo ponad swoje siły. Jeżeli dobra scena w klasztorze pokazała nam aktorstwo skupione, ekspresyjne — to po niej następowała scena wśród bankierów, gdzie Telatycka robiła coś a la Armanda Duval — czyli Gretę Garbo w „Damie Kameliowej". I tak plącząc się, sobie pozostawiona przez inscenizatora, chcąc porwać za sobą zespół — marnowała siły na naszych oczach dobra aktorka w niedobrym spektaklu.

„Wiatr w gałęziach sassafrasu" Teatr Osterwy z Lublina.

Głośny, z hukiem i swądem. Pastiche? Parodia? Bo właściwie nie wynika z koncepcji Wróblewskiego na co się zdecydował, przynosi wiele hałasu o nic i wyrównany zespół. Ileż to widzów spierało się, czy Wiszniewski, czy Bógdoł? Ilu mogłam, przeciągnęłam na stronę Sowińskiego, który budował sobie po cichutku, konsekwentnie i bez krzyku swego Indianina i miał tyleż uciechy z siebie samego, co my z niego!

„Wiśniowy sad" — Teatr Ludowy z Nowej Huty.

Była Mikołajska i było parę nieporozumień: pierwsze — scenograficzne, polegające na pretensjonalnym udziwnianiu z zachowaniem tradycyjnej dekoracji; drugie — usiłowanie dynamizowania Czechowa, który, jak powszechnie wiadomo, lubi być epicki, rozlewny, drążyć poprzez pozorną niedramatyczność; trzecie — brak decyzji czy komedia czy tragedia, czy wreszcie jedna z drugiej wypływające i tłumaczące się. Zwyciężyła zdaje się koncepcja komedii; czymże zatem tłumaczy się tragiczny finał? I Mikołajska — stojąca ponad tę komedię z Raniewską — nie płochą kobietką, lecz heroiną z tragedii o niemożności porozumienia ludzkiego, korespondującą taką koncepcją roli może tylko z Fryżlewiczem — aktorem rozumnym, ale najwyraźniej też buntującym się przeciw komediowemu Czechowowi i grającym poza tekstem. Na te dwie role nakładała się trzecia Zygmunta Malanowicza — Studenta, śliczne studium, tyle że rodem zdecydowanie z komedii, którą jednak ten Czechow nowohucki nie był. Zawiódł nasze oczekiwania.

„Kariera" — Zofii Niwińskiej i Kazimierza Witkiewicza.

To był popis Niwińskiej — aktorki repertuaru psychologicznego. Popis skromności. Popis spokojnej wiary w słowo autentyczne, gdzie Niwińska tworzyła świadomą ilustrację losów Modrzejewskiej, ciepłą, urokliwą, bez znanej ekspresyjności twórców teatru małych form. Tak dużo dobrego słyszałam o Niwińskiej po spektaklu, że zdami się niepotrzebne dziś dodawać już cokolwiek. O Witkiewiczu powiem, że stanowiąc tło: i w życiu jako Chłapowski, i na scenie jako współpartner — powróci raz jeszcze w „Mizantropie" i popatrzymy wtedy na jego podwójne aktorstwo z sympatią wielką oraz nadzieją, że nie zostanie ten subtelny ironista bez należnych mu słów uznania.

„Indyk" — Teatr Śląski w Katowicach.

Nie widziałam w nim nic poza świetnie zgranym zespołem i próbą komizmu za wszelką cenę. Można i tak — ale czy trzeba tak? Chłopi rzeczywiście pili kawę i było bardzo wesoło; tylko że człowiek jest nieco sfrustrowany i chciałby rzeczy głębokich.

„Mizantrop" — Teatr Stary w Krakowie.

Jan Kott — rewizjonista Boya. Huebner — reżyser prześwietny i szkoda, że na spotkaniach nie zobaczyliśmy ironii jego aktorstwa w roli Alcesta. Zazula — mizantrop pyszny w rysach komediowych; bez dystansu, za ciepły, za smutny ton poddawał tam, gdzie trzeba było drapieżności. I Filint — Marek Walczewski. I Ewa Lassek — Arsena. I Kazimierz Witkiewicz — Akast.

Filint Walczewskiego — to piękna propozycja roli, układającej się niczym kompromis między Boyem a Kottem. Z ducha molierowski; ze sposobu interpretowania postaci — współczesny. Egotysta — bo egotyzmu wymaga świat; sceptyk — bo jak inaczej poruszać się w tym świecie; miękki, poddający się obyczajowi, ceniący indywidualność, w imię świętego spokoju od głupców i niedołęgów. W sumie — człowiek daleki herosom typu „sans peur et sans reproche", ale taki, z którym warto przeżyć życie dla skopiowania jego stosunku do świata. Mizantropia bowiem wieść musi na pustynię, a gdzież dziś pustynie — w tym przeludnionym świecie?

„Kariera Artura Ui" — Teatr im. W. Siemaszkowej.

Gorszy spektakl widziałam na spotkaniach niż na premierze, widziałam bowiem aktorów u kresu sił, ale i tak o nim powiem, że dużo w nim pracowitego aktorstwa. Zresztą, co bym nie powiedziała będzie powtórzeniem. Któż lubi się powtarzać?

* * *

Minęły Spotkania — przyniosły z sobą obietnicę nagrody dla aktora. Dla kogo? Jakie kryteria zastosować może publiczność? — Wszystko to sprawy nieznane i kto wie, czy dobre, czy potrzebne. Po głębszym zastanowieniu dochodzę bowiem do wniosku, że nie lubię wybierać.

Ale widzę sens, kiedy widz powiada, że idzie do teatru dla Mikołajskiej, dla Holoubka czy dla Malickiej, bo to mu daje tę rzeczywistą przyjemność obcowania z żywym człowiekiem, tworzącym innego człowieka. Zresztą ja sama, zawsze, w każdym sezonie i w każdym teatrze mam przynajmniej jednego aktora, którego oglądam, podpatruję, podziwiam, zżymam się na niego, życzę mu sukcesu, spokoju i niepokoju, chcę, by był inteligentny, by zauroczył wszystkich i mnie jedną. Scena ma bowiem coś z magii, pod warunkiem, że dysponuje myślącym materiałem ludzkim.

Zbigniew Wawszczak

...„kamienie — mówią po polsku!"

Autokar zatrzymuje się na wzniesieniu, nie opodal wysokiego muru, otaczającego stary, wiejski kościółek. Jeżeli mur ten, z rzadka porośnięty winoroślą czy też bluszczem kryje nieznane nam jeszcze kształty architektoniczne, to po jego przeciwległej stronie otwiera się rozległa panorama na zamykający pofałdowaną kotlinę majestatyczny Chełmiec i inne, również porośnięte lasem, chociaż znacznie mniejsze szczyty Wałbrzyskich Sudetów.

Wokół przewodnika, jowialnego starszego pana w obcisłej wiatrówce, okrywającej jego tęgą postać, gromadzą się wycieczkowicze, ludzie rozmaitych zawodów i wieku. Do Szczawna przyjechaliśmy ze skierowaniami do któregoś z licznych sanatoriów. Na ogół nie znamy tego zakątka Ziem Zachodnich, nasza wiedza zamyka się na określonej grupie stereotypów. Wiemy więc, że ziemie te kiedyś w zaraniu naszej państwowości, przed tysiącem lat polskie, należące do państwa Mieszków i Bolesławów i zamieszkałe przez polską ludność, wcześnie, bo już w XIV stuleciu znalazły się pod obcym panowaniem i w wyniku wielowiekowego ucisku, uległy germanizacji. Spod nalotu niemczyzny musieliśmy, wracając tutaj w 1945 roku prawi dziedzice, wydobywać słowiańskie nazwy miejscowości, rzek, gór. Rzeczka, którą minęliśmy, tocząca niestety, brudną, zanieczyszczoną przemysłowymi odpadkami wodę, nazywaną przez Niemców Polsnitz, nosi teraz swą pierwotną, zachowaną w XIII-wiecznych dokumentach nazwę Pełcznica, wsi, do której jedziemy (Liebichau), przywrócono polskie miano Lubiechów.

Intryguje nas ta opowieść jowialnego i ogromnie rozmownego przewodnika, pozwala weryfikować mylne poglądy, przekonania. Wielu spośród uczestników jest wyraźnie zaskoczonych: dotychczas byli przekonani, że w tych stronach dokonywano tylko odwrotnego procesu, spolszczano niemieckie terminy. Proces odwrotny jakże wiele mówi...

A tymczasem przewodnik wskazuje na odległe o kilka kilometrów, rozciągające się u stóp leśnej ściany wzgórza. Zorany łan z lewa ma wyraźnie czerwonawy kolor. I właśnie od koloru gleby uzyskały swą nazwę Czerwone Wzgórza. To tutaj właśnie dopadli Prusaków ułani nadwiślańscy i w błyskawicznych atakach rozbili parokrotnie silniejszego liczebnie przeciwnika. A działo się to również w maju, wśród cudownej zieleni lasów i pól, 15 maja 1807 roku. Prawie zupełnie nieznana bitwa ułanów nadwiślańskich z Prusakami, stoczona na pograniczu uzdrowiska Szczawno i wsi Struga, zasługuje stanowczo na większy rozgłos. Co prawda, bitwa ta stanowiła jedynie epizod w rozległej panoramie wojen napoleońskich, ale jej wynik sprawił nam, późnym wnukom, ogromną satysfakcję. Kilkaset polskich szabel rozniosło spore siły pruskie: po bitwie okazało się, że jeńców było czterokrotnie więcej aniżeli zwycięzców. Bitwa ta, wystawiająca doskonałe świadectwo waleczności polskiego żołnierza i talentom dowództwa była u Prusaków przedmiotem rozmaitych analiz, komentarzy. Bardzo ciekawe spostrzeżenie wymknęło się pruskiemu historykowi Hochnerowi. Pisząc o niesławnej dla niemieckiego oręża bitwie, zauważył, że Polacy atakowali z ogromnym zapałem, gdyż czuli za sobą poparcie miejscowej ludności. Znajdujemy tu świadectwo wroga, z którego wynika, że jeszcze na początku ubiegłego stulecia we wsiach tej części Dolnego Śląska zamieszkiwała ludność polskiego pochodzenia. Jeszcze wtedy! Ale nie było polskiego państwa, nie miał kto upomnieć się o jej prawa, wziąć w obronę. Że wiesniacy tutejsi manifestowali swe braterskie uczucia w stosunku do polskich żołnierzy — to nas nie dziwi.

Obecnie na Czerwonych Wzgórzach wystawiono skromny pomnik. Rokrocznie odbywają się tu zloty turystyczne i rozmaite imprezy, a jedna z uliczek Szczawna Zdroju nosi imię Ułanów Nadwiślańskich.

Pokrzepieni opowieścią o zwycięskiej bitwie na Czerwonych Wzgórzach kierujemy się przez ukrytą w murze furtę do kościółka. Jest niewielki i niezbyt ciekawy, jedynie przed wejściem, na ścianie szczytowej zwracają uwagę renesansowe nagrobki z na poły już zatartymi napisami. Ale też nie kościółek w Szczawienku, położonej tuż obok przemysłowego Wałbrzycha — wsi jest przedmiotem naszej wyprawy. Po drugiej stronie kościoła spotykamy pierwsze polskie ślady. Oto kamienna tablica, kryjąca grób żony profesora Uniwersytetu Warszawskiego, która zmarła w połowie ubiegłego wieku, przyjechawszy na kurację do sąsiedniego Szczawna Zdroju. Odkrywamy jeszcze inne groby z polskimi napisami, ale oto uwagę wszystkich przykuwa niewielki pomnik z białego marmuru. Głośno odczytujemy napis i w miarę czytania urzeka nas uroda jego polszczyzny: Benedykt Józef Łączyński, generał Brygady Wojsk Polskich, Krzyża Wojskowego Polskiego Kawaler, Legii Honorowej Oficer, Orderu Obojga Sycylii Komandor

Jeśli los w to miejsce sprowadził Polaka
Niech czułą łzę uroni na grobie rodaka
Co Cnoty i Ojczyzny miłość w serce wszczepił
I dla niej sił starganych tutaj nie pokrzepił

Napis ten zajmuje czołową stronę obelisku, zwieńczoną spiczastym stożkiem z ostrołukowymi rytami, na trzeciej, bocznej kolumnie znalazło się jego dokończenie: Umarł używając wód w Salzbrunn, dnia 7 sierpnia 1820 roku. Żył lat 43.

Zadumaliśmy się chwilę nad losami młodego generała z pokolenia Kozietulskich, pokolenia, które trzymając się rydwanu boga wojny, Napoleona, próbowała szablami wyrąbać niepodległość Ojczyzny. Cała ta heroiczna epopeja, upamiętniona w nieśmiertelnych „Popiołach" Żeromskiego (który wspomina również o bitwie ułanów nadwiślańskich), nie poszła przecież na marne i przyniosła wreszcie po nieskończenie długich 10-leciach upragnioną wolność.

A generał Łączyński? Choć hulaka jak wszyscy oficerowie tamtej epoki, wsławiony ponadto głośnym romansem swej siostry, Marii Walewskiej, w którym również odegrał pewną rolę, nie sterał przecież życia w salonach. W dobroczynnych wodach Szczawna leczył blizny i kontuzje z licznych bitew, w których wypadło mu wziąć udział. Niestety, kuracja nie uratowała już zrujnowanego organizmu żołnierza, zmarł w sile wieku z dala od bliskich.

Zapewne nie przeczuwał, że kiedyś Ojczyzna, dla której nie oszczędzał sił obejmie w posiadanie utracone przed wiekami dziedzictwo, a jego skromny grób, przytulony do ściany wiejskiego kościółka będzie przedmiotem częstszych wypraw rodaków, przyjeżdżających dla pokrzepienia się do pobliskiego, pięknego zdroju.

Szczawno w maju jest śliczne. Zaskoczenie jest tym większe, że nic nie zdaje się tego zapowiadać. Jedzie się tutaj mijając ogromne hałdy, kopalnie węgla, zadymione zakłady Wałbrzycha. Po dziesięciominutowej ledwo jeździe autokarem — nagle wszystko to znika, zostaje gdzieś z tyłu, przesłonięte zalesionymi wzgórzami. W ogromnym parku wśród wyjątkowo pięknych starych buków, sosen, dębów, których młodziutka zieleń uderza świeżością — rozlokowały się sanatoria. Nie wszystkie są równie eleganckie, stylowe jak zbudowane przez książąt pszczyńskich sanatorium numer jeden mieszczące jednorazowo ponad trzystu pacjentów, zewnętrznie przypominające swą bryłą gmach sopockiego Grand Hotelu. Wypocząć można tu doskonale, spacerując wśród kwitnących w maju magnolii, rododendronów, ozdobnych krzewów i drzew w ogromnym parku, obejmującym rozległe wzgórze Gedymina (nazwane tak przez jakiegoś osadnika z dalekiej Litwy). Wygodne, starannie utrzymane ścieżki przecinają ów uroczy las — park w rozmaitych kierunkach, obfitość śpiewających ptaków, wśród których prym wiodą brązowopióre kosy, znakomite powietrze, wyborne wody lecznicze, wszystko to czyni ze Szczawna miejscowość o wyjątkowym uroku.

Drugi park, ulokowany naprzeciw zdrowego i dla bliżej nieznanych powodów nazwany szwedzkim, prezentuje obok potężnych drzew malownicze stawy z rybami, łabędziami i dzikimi kaczkami.

Zakład przyrodoleczniczy, zbudowany tuż przed ostatnią wojną, w 1939 roku, jest nowoczesny i wyjątkowo elegancki (wykładane taflami białego marmuru posadzki). Na frontonie tegoż zakładu wmurowano tablicę pamiątkową, z której, nie bez miłego zaskocznia, dowiedziałem się, że Szczawno odwiedzane było w ubiegłym stuleciu z nie mniejszym zapałem, aniże li powiedzmy, perła naszych uzdrowisk, Krynica. Nie tylko generał Łączyński leczył tu (bezskutecznie) kontuzje, z większym powodzeniem bawiło tu tak wiele znakomitości, że niepodobna wyliczyć ich jednym tchem. Oto w stojącym vis a vis sanatorium „Korona piastowska" (notabene należącym kiedyś do rodziny Hauptmannów, z doskonale zachowanej tablicy, dowiadujemy się, że tutaj właśnie urodził się w 1862 roku wybitny pisarz niemiecki, Gerhardt Hauptmann. Podobno odbyło się tu dramatyczne rozstanie Zygmunta Krasińskiego z ukochaną Joanną Bobrową, w ślicznej bogato i ze smakiem ozdobionej sali teatralnej koncertował Henryk Wieniawski, który bawił w Szczawnie na paromiesięcznej kuracji w roku 1857. Uczczono to wydarzenie wmurowaniem pamiątkowej tablicy na domu, w którym mieszkał i wystawieniem skromnego pomnika na skraju parku zdrojowego. A w ogóle to rozbiła się w Szczawnie bania z literaturą: któż tu nie przyjeżdżał do wód — oprócz wspomnianego już hrabiego Zygmunta: był więc Kazimierz Brodziński, Teofil Lenartowicz, Józef Korzeniowski, a także Narcyza Żmichowska.

Pytałem o współczesnych pisarzy. Owszem, bywają prawie co roku, szczegóły ich pobytu (miejmy nadzieję, że nie intymne) odnotowują zapewne w annałach kronikarze uzdrowiska. Za lat powiedzmy trzydzieści w drugim, wolnym obecnie skrzydle zakładu przyrodoleczniczego, będzie można wmurować tablicę z nazwiskami słynnych rodaków. Tablica z pewnością nie będzie mniejsza od tej, na której pomieszczono polskie znakomitości ubiegłego stulecia.

Ale nie tylko polska literatura tak sobie upodobała w ubiegłym wieku piękne Szczawno: również Rosjanie przyjeżdżali tu chętnie. Spośród najznakomitszych wymieńmy nazwiska: świetnego filozofa, krytyka, i teoretyka, literatury Wissariona Bielińskiego oraz nie mniej wybitnego pisarza, Iwana Turgieniewa. Ich pobyt oznaczono marmurowymi tablicami.

Muzykę polską reprezentował jeszcze Antoni Radziwiłł, a ruch spiskowy wybitny rewolucjonista, przywódca rewolucji krakowskiej 1846 roku, czerwony kasztelan, Edward Dembowski. Listę naszych znakomitości zamyka nazwisko twórcy esperanto, dra Ludwika Zamenhofa, który przebywał w Szczawnie-Zdroju w 1901 roku.

Drzeworyty z Płazowa na wystawie krakowskiej

Z końcem XIX wieku w małym miasteczku Płazów w powiecie lubaczowskim, na strychu jednego z domów znaleziono kolekcję klocków, z których 9 było dwustronnie rytowanych, a 4 — jednostronnie. Nie umiano jeszcze wtedy ustalić, kto był ich autorem. W każdym razie kolekcja ta wzbudziła zrozumiałe zainteresowanie etnografów i historyków, którzy rozpoczęli badania, mające ustalić, kto był twórcą ukrywającym się pod inicjałami MK. Kolekcja znajdowała się w rękach prywatnych, potem przeszła do Muzeum Etnograficznego w Krakowie. W końcu ustalono nazwisko bezimiennego drzeworytnika. Był nim Maciej Kostrycki, mieszczanin z Płazowa, którego nazwisko powtarza się kilkakrotnie w księgach miejskich.

Drzeworyty Kostryckiego miały charakter użytkowy, były wykonywane dla potrzeb miejscowej ludności polskiej i ruskiej. Stąd też główną tematykę stanowią w nich sceny z Ewangelii i późniejszych podań o popularnych świętych, jak np. Św. Jerzy zabijający smoka. Tło drzeworytów było wypełniane ornamentami lub emblematami związanymi z główną tematyką obrazu. Rysunek był ryty w drzewie lipowym lub gruszowym, bardzo często po obu stronach klocka, a to ze względu na to, że do drzeworytu potrzeba było drzewa suchego, bez sęków i bez pęknięć i dość dużej szerokości, a o takie drzewo było zawsze trudno, więc też artysta dla oszczędności wykorzystywał obie strony. Sam papier, który stosowano przy wykonywaniu odbitek, był lichy szaro-siny, bardzo tani. Wskutek tego odbitki szybko ulegały zniszczeniu i dlatego są one dzisiaj dla nas rzadkością.

Muzeum Etnograficzne w Krakowie posiada w swoich zbiorach 141 drzeworytów oraz 14 klocków stanowiących obecnie jedną z najcenniejszych kolekcji grafiki ludowej w Polsce. Wśród nich znajdują się 22 drzeworyty z Płazowa, oceniane przez znawców bardzo wysoko.

Drzeworyty Macieja Kostryckiego zostały wystawione na wystawie w lokalu Stowarzyszenia Historyków Sztuki w Krakowie z początkiem czerwca br. w ramach II Międzymuzealnej Międzynarodowej Kampanii z okazji 20-lecia Międzynarodowej Rady Muzeów ICOM. Wystawa nosi tytuł „Polski drzeworyt ludowy" i oprócz drzeworytów z Płazowa zawiera również grafiki z Mąchocic pow. Kraków, Gorzenia, pow. Wadowice, wykonane przez Jędrzeja Wowro, oraz z Machniowych, pow. Nowy Targ.

RYSZARD DZIESZYŃSKI

Sesja poświęcona twórczości Stanisława Piętaka

Z okazji Dni Rzeszowa Zakład Literatury Polskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej, Oddział Związku Literatów Polskich i Komisja Historyczno-Literacka Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Rzeszowie, zorganizowały pod patronatem Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w dniach 7 i 8 czerwca 1968 r. sesję popularnonaukową i seminarium studenckie poświęcone życiu i twórczości Stanisława Piętaka.

W sesji udział wzięli: **Aleksandra** — wdowa — po **Stanisławie Piętaku, Jan Bolesław Ożóg, Antoni Weiss,** kierownik Wydziału Kultury w Tarnobrzegu, **Antoni Zarychta,** wiceprzewodniczący Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Tarnobrzegu.

Pierwszy dzień poświęcono referatom studenckim. Seminarium otworzył **Józef Nowakowski** — pracownik naukowy WSP, referaty wygłosili studenci **Anna Tofil** „Elementy autobiograficzne w twórczości Stanisława Piętaka", **Krzysztof Podracki** „Dylematy moralne poezji Stanisława Piętaka", **Zofia Skotnicka** „Piętak a polska tradycja romantyczna", **Danuta Zasucha** „Piętak a awangarda", **Krystyyna Śliwa** „Elementy nadrealizmu w twórczości Stanisława Piętaka", **Jerzy Słabicki** „Związki Piętaka z autentyzmem", **Maria Niemczewska,** studentka II roku UJ „Topizmy w twórczości Piętaka".

Po seminarium Jan Bolesław Ożóg, podzielił się uwagami na temat poezji Piętaka i opowiadał o osobistych wspomnieniach i kontaktach z twórcą, o czym mówiła również **Aleksandra Piętak.**

Drugi dzień sesji zainaugurował **Jerzy Pleśniarowicz,** prezes Rzeszowskiego Oddziału ZLP, a referaty wygłosili: **Stanisław Frycie** „Stanisław Piętak we wspomnieniach" (próba szkicu biograficznego), **Anna Buss** „Kilka uwag o modelu autobiograficznej powieści „Odmieniec", **Eugenia Łoch** „O twórczości nowelistycznej Stanisława Piętaka", **Józef Nowakowski** „Uwagi o twórczości poetyckiej Stanisława Piętaka", **Stanisław Gębala** „Konstrukcja pejzażu poetyckiego w wierszach Stanisława Piętaka", **Zofia Sokół** „Bibliografia podmiotowa w twórczości Stanisława Piętaka", **Jadwiga Rospond** „Bibliografia przedmiotowa o twórczości Stanisława Piętaka".

Następnie uczestnicy sesji wyjechali autokarem do Wielowsi — rodzinnej wsi Piętaka — gdzie spotkali się z gronem nauczycielskim i młodzieżą szkoły podstawowej jego imienia. Tutaj **Tadeusz Stanisz** wygłosił odczyt „O życiu i pisarstwie Stanisława Piętaka" oraz opowiadał o swoich kontaktach z pisarzem. Dr Stanisław Frycie przedstawiciel Katedry Języka Polskiego postulował o stałą opiekę nad szkołą imienia poety. Z kolei z taśmy magnetofonowej odtworzono wypowiedzi Piętaka na temat literatury i jego związków z regionem oraz recytacje dwu wierszy. Młodzież szkolna upamiętniła uroczysty dzień występami artystycznymi i recytacjami wierszy poety.

Uczestnicy sesji zwiedzali Wielowieś oraz szkołę i mieszczącą się w niej Izbę Pamiątek. (mt)

Komenda Chorągwi Rzeszowskiej ZHP z dobrym uporem prowadzi od 8 lat festiwal piosenki. Jest to niezwykły festiwal. Obejmuje w zasadzie całą młodzież szkolną naszego województwa. Rozpoczyna się z rokiem szkolnym i kończy w maju lub czerwcu. Niezwykły, bo nie poszukuje gwiazd piosenkarstwa, lecz chce rozśpiewać tę młodzież do niedawna jeszcze okrzyczaną jako głuchą. Chce wyrobić u najmłodszych i młodych nawyk obcowania na co dzień z muzyką i skłonić do aktywnego uprawiania piosenkarstwa.

W ubiegłą niedzielę odbył się już tradycyjnie w Przemyślu finał ósmego z kolei Harcerskiego Festiwalu Piosenki. I dziś można już powiedzieć, że organizatorzy zaczynają zbierać plony ośmiu żmudnych lat systematycznej pracy umuzykalniającej.

Młodzież harcerska zaczyna śpiewać zwykłe piosenki bez akompaniamentu zawodnych, ogłuszających i nieraz ogłupiających gitar elektrycznych. Zwykłe piosenki młodzież zaczyna lubić (bo jakże wykonaliby je tak dobrze jak w Przemyślu!?). Teraz dopiero po kilku latach śledzenia Harcerskiego Festiwalu Piosenki zaczynam wierzyć i ja, że założenia festiwalu w pełni zostaną zrealizowane. Myślę tu o stałym poszukiwaniu nowego repertuaru młodzieżowego przy równoczesnym zachowaniu pietyzmu dla starych, wartościowych utworów.

Eliminacje wojewódzkie festiwalu obejmują w zasadzie tylko młodzież starszą. Dla dzieci w wieku szkoły podstawowej festiwal kończy się udziałem w eliminacjach powiatowych. W Przemyślu wystąpiła jednak przedstawicielka najmłodszej grupy uczestników festiwalu 12-letnia Jolanta Kurek z Sanoka. Śpiewała i zachwyciła wszystkich. Talent muzyczny Joli jest bezsprzeczny i tym głosem trzeba się zaopiekować!

Wyniki przesłuchań wojewódzkich są optymistyczne, chociaż trudno mówić o zadowoleniu. Nie waham się jednak stwierdzić, że piosenka nareszcie będzie towarzyszyć młodzieży w czasie wędrówek, na obozach i ma stałe miejsce w harcerskim plecaku.

Na czoło wysunęły się i zdobyły pierwsze miejsce „Violinki" (na zdjęciu), 8 dziewcząt z Technikum Górniczo-Naftowego z Krosna, które śpiewają pod kierownictwem Adama Micbergera. Repertuar tego zespołu mógłby być ciekawszy, ale kulturą muzyczną i prostotą wykonania stały się bezkonkurencyjne. Uznali ich śpiew nawet wielbiciele big-beatu, licznie zgromadzeni na widowni. Adam Micberger otrzymał nagrodę za akompaniament i opiekę nad zespołem.

Dalsze miejsca — II i III zdobyły: „Stokrotki" z Przeworska i „Jowitki" z Przemyśla.

W tym roku zabrakło w zasadzie solistów. Wystąpił jedynie przedstawiciel Przemyśla, który już „wyrósł" z młodzieżowej organizacji, jaką jest ZHP.

Szkoda, że koncert laureatów nie odbył się bez zgrzytów. Przyjemny, prawdziwie harcerski młodzieżowy nastrój, serdecznie przyjęty przez sympatyczną widownię zepsuł zespół akompaniujący Tarczyńskiemu — „Sami swoi" z Przemyśla i on sam, chcąc przekształcić występ we własny wieczór mocnego uderzenia. Komenda Chorągwi wyciągnie zapewne właściwe wnioski w stosunku do niezdyscyplinowanych uczestników. Jest to konieczne, tym bardziej, że muzycy-amatorzy przemyscy nie uczynili tego po raz pierwszy.

IX Harcerski Festiwal Piosenki poświęcony piosence Polski, która już będzie miała wkrótce 25 lat, rozpocznie się we wrześniu br.

MARIA C. GUZIOŁEK

Jan Pipała

KONFRONTACJE

Marcowe dni dowiodły potrzeby rzetelnej dyskusji z młodzieżą, m. in. o przeobrażeniach społeczno-ustrojowych w Polsce. Młodzież powinna zdawać sobie sprawę z tego, że powszechne dziś dobra społeczne, jak praca i nauka były w niedawnej przeszłości jedynie celem oraz rewolucyjnym programem walki młodego pokolenia, że o te prawa walczy dalej młodzież krajów kapitalistycznych. Potrzebę takiej dyskusji trafnie ujmuje prof. B. Suchodolski, pisząc m. in.:

„Dla tych młodych ludzi Polska międzywojenna ziemiańska i kapitalistyczna jest tylko Polską z podręcznika historii równie daleką od osobistego doświadczenia, jak Polska szlachecka: dla nich okupacja hitlerowska jest okresem znanym tylko z opowiadań starszych, tj. młodzież, która nawet „polski październik" pamięta jedynie ze wspomnień dziecięcych".
(Życie Warszawy z dn. 17 IV br.).

Kapitalistyczno - obszarnicze rządy w Polsce międzywojennej nie były w stanie zagwarantować dorastającej młodzieży wsi i miast tak podstawowych praw do pracy, do zdobycia zawodu, do nauki. Popatrzmy zatem, jak przedstawiały się możliwości rozwoju oraz prespektywy młodzieży robotniczo-chłopskiej w Polsce przedwrześniowej. Możliwości te były różne w poszczególnych okresach czasu, środowiskach społecznych oraz regionalnych kraju. Inne były w okresie względnej prosperity gospodarczej w latach 1926—1928 i w latach kryzysu gospodarczego 1929—1933, inne w centralnej Polsce i w tzw. Polsce „B", której symbolem było m. in. dzisiejsze woj. rzeszowskie. Wspólne dla tych warunków było to, że w ciągu całego dwudziestolecia międzywojennego młodzież robotniczo-chłopska nie miała równego startu życiowego z młodzieżą burżuazyjną i obszarniczą. Młodzież pochodząca z rodzin robotniczych i chłopskich miała minimalne możliwości zdobycia nawet średniego wykształcenia, ciągle stała przed widmem bezrobocia, nędzy i głodu.

Największym problemem dla młodzieży było wówczas bezrobocie. W opublikowanej przez Instytut Spraw Społecznych w 1938 r. książce pt. „Młodzież sięga po pracę", obliczono, że rocznie na 70 tys. miejsc zwalniających się poza rolnictwem kandyduje 140 tys. młodzieży z miast oraz 230 tys. młodzieży pochodzącej ze wsi. Według wydanej w tymże 1938 roku pracy „Bezrobocie wśród chłopów" czytamy, że w wieku lat 18—19 było wśród młodzieży robotniczej tzw. „zbędnych" 55,2 proc. mężczyzn i 43,1 proc. kobiet, w wieku zaś 20—22 lata 54,7 proc. mężczyzn i 39,9 proc. kobiet. Trudne były także warunki życia młodzieży na wsi. Opublikowane w latach 1935—1936 „Pamiętniki chłopów" wykazują w sposób dobitny beznadziejną sytuację młodzieży wiejskiej, która nie miała możliwości podjęcia pracy w mieście ani zdobycia zawodu i wykształcenia. Dostęp do szkół średnich i wyższych był w praktyce dla młodzieży robotniczo-chłopskiej zamknięty. Dostęp do nich utrudniały wysokie opłaty szkolne, egzaminacyjne oraz znikoma ilość stypendiów i domów studenckich. Według danych ostatniego „Małego Rocznika Statystycznego" okresu międzywojennego, w roku akademickim 1937/38 studiowało w Polsce 47,9 tys. studentów. Spis ludności z 1931 roku wykazał, iż 21,3 proc. ludności w Polsce nie umiało czytać i pisać. „Wbrew szumnym zapewnieniom, że młodzież jest chlubą i przyszłością narodu — pisał w 1936 roku H. Dembiński — jest ona w rzeczywistości coraz bardziej krzywdzonym i wypychanym na margines życia społecznego pariasem".

Jakże inne są realia dnia dzisiejszego młodego pokolenia.

W 75 uczelniach studiuje obecnie około 280 tys. studentów. Na każde 10 tys. mieszkańców przypada u nas 80 studentów (przed wojną tylko 14). Tymczasem np. w Szwajcarii i Włoszech niewiele ponad 50 osób na 10 tys. mieszkańców. Równocześnie z budową nowych podstaw ustrojowych władze Polski Ludowej przystąpiły do tworzenia od podstaw szkolnictwa wyższego. Takie miasta jak Białystok, Kielce, Łódź, Opole, Olsztyn, Rzeszów, Szczecin, Zielona Góra, nie miały wyższych uczelni. Warto tu przypomnieć, że od najbliższego roku akademickiego po otwarciu WSI w Koszalinie, każde województwo będzie dysponować szkołą wyższą. W ubiegłym roku akademickim na studiach dziennych było około 27 proc. młodzieży robotniczej i około 15 proc. pochodzenia chłopskiego. Wskaźniki te (aczkolwiek znaczne) nie odpowiadają jednak obecnej strukturze społecznej. Średni koszt wykształcenia studenta wynosi 100—200 tys. złotych zależnie od kierunku studiów. Wystarczy powiedzieć, że w latach 1966—1970 tylko na nowe inwestycje uczelni przeznacza się ok. 4 mld złotych. Plany rozbudowy wyższych uczelni przewidują, że w 1975 roku będzie studiować 380 tys. osób, a w 1985 roku — pół miliona. Państwo czyni bardzo dużo w dziedzinie stworzenia studentom optymalnych warunków nauki. Według danych Ministerstwa Finansów liczba młodzieży pobierającej stypendia wynosi 76,6 tys. osób. Wraz z około 15 tys. osób pobierających stypendia fundowane stanowi to około 90 tys. studentów czyli połowę słuchaczy studiów dziennych. Przed 1939 rokiem ze stypendiów i pożyczek korzystało około 10 tys. studentów. Utrzymanie stołówek akademickich pochłonie tylko w br. w skali kraju ponad 256 mln złotych, zaś domów studenckich — 295 mln. Natomiast na studencką służbę zdrowia państwo przeznacza rok rocznie ponad 40 mln złotych.

Powyższe konfrontacje posiadają nie tylko ewidentną, statystyczną wymowę. Kryje się za nimi przede wszystkim treść dwóch różnych formacji społeczno-ustrojowych: dawnej kapitalistyczno-obszarniczej i dzisiejszej socjalistycznej, lub jeśli ktoś woli „jaśniepańskiej" i współczesnej rządzonej przez „ciemniaków". Ostatnie wydarzenia stały się dla wielu ośrodków okazją do rozważań dotyczących „jakości" polskiej młodzieży. Wypada tu dostrzec, że młodzież w porę pojęła antynarodowe hasła i cele organizatorów. Sama więc młodzież wystawiła sobie świadectwo patriotycznej dojrzałości. Nie są jej potrzebni dziś ani adwokaci, ani sędziowie. Młodzież potrzebuje natomiast — jak zawsze — dobrych wychowawców, których brak było m. in. w wielu uczelniach. Osobiście sądzę, że młody człowiek jest dziś przede wszystkim świadomym obywatelem kraju budującego socjalizm. Generacja ta w krótkim historycznie czasie zmuszona była do ciągłych zmagań, ustawicznego wyboru we wszystkich płaszczyznach. W tych zmaganiach tkwi dzisiejsza dynamiczność dorosłej społeczności, której ostateczną orientacją polityczną stała się idea socjalizmu, życiową zaś — realizm. Wybór ten rodził się z trudem, jest zatem głęboko przemyślany i racjonalnie uzasadniony. Prawda i fałsz ścierały się z całą ostrością na oczach tej formacji, stawiały przed nią retoryczne pytania. Teraźniejszość kłóciła się z przeszłością. Służenie do mszy stawało w sprzeczności z pracą w organizacji młodzieżowej. Podobnie kolidowały z sobą treści lekcji religii, historii, biologii. W ich krótkiej biografii było wiele kontrowersji. Był katechizm, Manifest Komunistyczny, XX Zjazd KPZR, VIII Plenum KC PZPR w 1956 r.! Wiara czy prawda naukowa? Marksizm czy ideologia Zachodu? Oto niektóre z wielu pytań, bezpośrednio znaczących drogę rozwoju osobowości tych ludzi. Nie mają więc racji ci, którzy młodzieży przypisują aspołeczność, amoralność, brak ambicji itp. Przeczy temu konstruktywna postawa tej społeczności, która w pełnym tego słowa znaczeniu jest pierwszym, autentycznym pokoleniem Polski Ludowej. Pokolenie to ciągle podnosi swą wiedzę i kwalifikacje, ma także ambicje służenia określonym ideałom społecznym.

Lubomir Radłowski
Czesław Świątoniowski

Rzeszowski Zespół WDK w krajach Beneluxu

- *6 388 km podróży autobusem*
- *Nocne rodaków rozmowy*
- *Wojaże i koncerty*
- *„O mój rozmarynie" w Gandawie*
- *Polonia niejednolita, ale patriotyczna*

Przygotowania trwały niespełna kilka miesięcy. Wprawdzie wyjazd rzeszowskiego Zespołu Pieśni i Tańca WDK na zaproszenie Polonijnego Zespołu Pieśni i Tańca „Krakus" do Belgii omawiano w sierpniu ub. roku, ale jak zwykle bywa w takich sytuacjach, dopiero w lutym po nadesłaniu zaproszenia przez „Krakus" w Wojewódzkim Domu Kultury zawrzało. A pracy było niemało. Dobór odpowiednich tańców, melodii i pieśni dla bądź co bądź dość specyficznego środowiska polonijnego, nie był łatwy. Trzeba było zachować regionalny charakter zespołu i jego program, z drugiej strony chodziło o zaprezentowanie polonijnej widowni w jakimś przekroju dorobek artystyczny i naszej kultury ludowej. Ponadto w grę wchodził druk plakatów i programów obcojęzycznych, co w warunkach belgijskich ma szczególne znaczenie z uwagi na dość ostrą linię podziału między prowincjami walońskimi i flamandzkimi. Trzeba było również przygotować chociaż po jednej popularnej piosence w języku francuskim i flamandzkim. No i wreszcie niebłahą rzeczą była sprawa upominków.

Należy podkreślić, że przygotowania do wyjazdu licznego, bo 35-osobowego zespołu w tak krótkim czasie i załatwienie wszelkich formalności paszportowo-dewizowych, mogły udać się jedynie dzięki dużej przychylności władz wojewódzkich w Rzeszowie i władz w Warszawie oraz olbrzymiej pomocy Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną, pod którego egidą rzeszowski zespół udał się na tournee po ośrodkach polonijnych w Belgii.

Pierwsze trzy dni podróży wygodnym autokarem użyczonym zespołowi przez dyrekcję Fabryki Autobusów „Autosan" w Sanoku — można zaliczyć do najmilszej wycieczki krajoznawczo-turystycznej, która dostarczyła nam wiele przeżyć zawsze towarzyszących zbiorowej wycieczce.

19 kwietnia, po trzech dniach podróży, w czasie których 6 razy podnosiły się szlabany graniczne 4 państw, witano nas serdecznie w Belgii. Na powitanie przybyła liczna grupa Polonii belgijskiej z kwiatami, w strojach ludowych. Przybyli przedstawiciele Towarzystwa Przyjaźni Belgijsko-Polskiej i miejscowych władz.

Po uroczystej kolacji, oficjalnych przemówieniach, zespół został „rozparcelowany" po rodzinach polonijnych, gdzie otrzymał zakwaterowanie na okres 16 dni pobytu w Belgii. Długo tej nocy świeciły światła w polskich domach w górniczej Limburgii. Tradycyjne w takich sytuacjach nocne rodaków rozmowy przeciągnęły się gdzieniegdzie do rana.

Ale już o godzinie 10 dnia następnego zespół rozpoczął przygotowania do występów. Zespół taneczny śpiewając wkroczył na parkiet ze swoim staropolskim i jakże rzeszowskim „Pięknie Was witamy...". A że próba odbywała się w lokalu dostępnym dla wszystkich, na sali zapanowało ogólne wzruszenie, przełamane zostały lody. W oku niejednego górnika-rencisty zabłysła łza radości. Pierwszy nieoficjalny występ utwierdził nas w przekonaniu, że zespół spotka się z dobrym przyjęciem, z przychylną atmosferą.

Wieczorem pierwszy występ w Eisden. Po upalnym dniu, gorący, parny wieczór. Na koncert przybyła licznie nie tylko miejscowa Polonia, ale przyjechali również Polacy z osad odległych o kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt kilometrów. Zespół zaprezentował się doskonale. Brawom, okrzykom, a także gwizdom, które tu są wyrazem najwyższego aplauzu, nie było końca. Wśród widzów starsi mężczyźni, kobiety, sporo dzieci i młodzieży. Wszyscy z jednakowym zachwytem i wzruszeniem reagują na występy. W czasie przerwy i po koncercie atmosfera jak w czasie rodzinnej uroczystości, która przy tradycyjnym belgijskim piwie przeradza się w wesoły zabawowy nastrój. Kierownictwo zespołu przygląda się z przymrużeniem oka tej biesiadzie, bowiem 0,20 l pleicze czy nawet 0,25 l pińcze (tak określa się tu małe i duże piwo) nawet kilka razy powtórzone nie pozwoli zaszumieć w głowie, tak jak nasze 50 lub 100 gramów, a takich miarek w Belgii nie znają. Zresztą naparstkowe kieliszki z zawartością tzw. „polskiej wódki wyborowej" produkcji imć pana Kapuścińskiego (nazywają go tam — limburski Baczewski) są płynem o tak ohydnym smaku, że nikt z naszych po raz drugi nie odważył się podnieść kieliszka do ust.

Zabawa w Eisden trwała do późnych godzin nocnych, i każdy coś tam wypił do pana Pawła, Antka czy Czesia, a nazajutrz znowu koncert w Beringen. Tu, w obszernym, nowym Polskim Domu, zbudowanym ze składek miejscowej Polonii, znowu sukces zespołu. Duże brawa widowni. Wyrazy uznania ze strony prezesa miejscowej organizacji polonijnej, p. Stanisława Ciołka — jak się okazało w późniejszych rozmowach, naszego rodaka z dębickiego. Na koncert przybyło również sporo Belgów, w tym również 2 księży — Flamandczyków, którzy byli zachwyceni występem, czemu jeden dał wyraz w swoim przemówieniu.

Następnych kilka dni zespół spędził relaksowo, odbywając liczne wycieczki po Belgii, Holandii i przygotowując się do galowego występu na ogólnobelgijskim Festiwalu Polonijnych Zespołów Folklorystycznych. W międzyczasie odbyło się również spotkanie kierownictwa zespołu z przedstawicielami miejscowych organizacji polonijnych: PSL, Okręgowej Rady Narodowej, Zespołu „Krakus" i Towarzystwa Przyjaźni Belgijsko-Polskiej, na które przybył również konsul PRL w Brukseli — Henryk Lampasiak. Na spotkaniu tym ustalono dalszy plan tournee zespołu.

Na trasach wycieczkowych do Belgii i Holandii, niezatarte wrażenia pozostawia po sobie zwiedzanie miejsc walk polskich sił zbrojnych na zachodzie przeciwko Niemcom hitlerowskim w okresie II wojny światowej. Belgia, Holandia, Luksemburg, to kraje, których znaczne obszary zostały wyzwolone przez Polaków, stąd też spotyka się tu ludzi, którzy z wdzięcznością i sympatią wspominają polskich żołnierzy wyzwolicieli. Jest tu sporo pamiątek — pomników i obelisków. Są niestety pamiątki, przypominające bolesne straty — mogiły polskich żołnierzy. Byliśmy na jednym z cmentarzy wojskowych w Belgii w pobliżu miasteczka Lommel. Szare krzyże na schludnie utrzymanych mogiłach. Na krzyżach w większości napisy: „nieznany", na niektórych pierwsza litera imienia i nazwisko — P. Kłos, J. Szczepanik, J. Mazurkiewicz, H. Sosna. Gdy tak staliśmy po złożeniu wiązanki kwiatów przed pomnikiem, na myśl uporczywie nasuwało się pytanie — ile to matek, żon w Polsce opłakuje tych, którzy z dala od ojczyzny przelewali krew i oddali swe życie „za wolność naszą i Waszą".

Cmentarz poległych żołnierzy w Lommel jako żywo przypomina nasze polskie cmentarzyki, położone wśród pól, szumiących sosen, z zieleniejącym wiosną i mieniącym się fioletem w jesieni — wrzosem. Wydaje się, że sama natura tak się ukształtowała, by polegli bohaterowie mogli spoczywać jak na polskiej ziemi.

Jakże odmienny w swym wyglądzie jest położony niedaleko cmentarz tych, którzy za miano „panów świata" rozpętali tę straszliwą tragedię — II wojnę światową. Olbrzymie, jakby marsowe pole, otoczone nieprzyjaznym murem, oznaczone dziesiątkami tysięcy krzyży, budzi jeszcze dziś niepokój, jako wyraz tej siły butnego prusactwa, które nieraz wyruszało na podbój świata, a dziś straszy jeszcze swym milczącym kamiennym symbolem. Przy wejściu na cmentarz, w mauzoleum leży potężna postać teutońska, o wyrazie pełnym buty i pogardy dla wszystkich. Ale skromny cmentarzyk polski, na którym spoczywa około 300 poległych, świadczy o tym, że nie tysięczne zagony grabieżców nie buta prusacka święci ostateczny triumf, ale sprawiedliwość, godność tej skromnej garstki żołnierzy polskich, którzy potrafili walczyć i zwyciężać.

Nie tylko miejsca walk Polaków w II wojnie światowej były celem naszych wycieczek. Podziwialiśmy, jakkolwiek w mglisty, deszczowy dzień, wspaniałe pola tulipanowe w Holandii. Przepiękną architekturę Rotterdamu. Imponującą sylwetkę Atomium — pamiątki pozostałej po światowej wystawie Expo 57 w Brukseli. Przejeżdżaliśmy kilkakrotnie obok rezydencji królewskiej w Brukseli, aby oglądać operetkowe zmiany warty Gwardii Królewskiej.

Zwiedziliśmy słynne Waterloo — znane nie tylko z przesławnego lania, jakie otrzymał tam Napoleon, ale również z tego, że i nasi przodkowie przelali tam niemało krwi za cesarza i ojczyznę.

Warto wspomnieć o wspaniałej Panoramie Bitwy pod Waterloo, która nie ustępuje swymi rozmiarami Panoramie Borodinowskiej czy Sewastopolskiej. Ciekawa jest tam również galeria figur woskowych, wybitnych dowódców bitwy pod Waterloo.

Na trasie naszych wojaży zwiedziliśmy również Królewskie Muzeum Kolonialne w Tervuren, które obecnie nazywa się tak ładnie — Muzeum Kultury Afrykańskiej. Wspaniałe eksponaty egzotycznej flory i fauny kongijskiej, wyroby sztuki ludowej, najdawniejsze przedmioty gospodarstwa domowego, strojów ludowych, broni, wywiezione z Konga — ongiś kolonii belgijskiej, są chyba najbogatszymi zbiorami tego rodzaju w świecie.

Można by całe stronice wypełnić opisami miejsc i tras naszych wycieczek. Warto jednak odnotować ogólne wrażenie z tych wojaży, na przykład w NRF, Belgii czy Holandii na szosach, autostradach, na ulicach miast, dominuje szaleńczy ruch kołowy. Potworna gonitwa setek tysięcy samochodów. Jezdnie ulic rozszerzone do maksimum przy pozostawieniu wąskich chodniczków dla pieszych, gdzie kwestia zaparkowania wozu stanowi nie lada problem. To np. na terenie Wielkiego Księstwa Luksemburg, panuje iście sielankowo-kurortowa atmosfera. Przejeżdżając autobusem trasę ponad 200 km przez Luksemburg, liczyliśmy traktory wyjeżdżające w pole. Wszędzie dużo lasów, uprawnych pól, zagród wiejskich. Nawet w miastach takich jak Luksemburg — stolicy Księstwa, Esternach — Mekce turystyki krajów Beneluxsu i innych, wszędzie taki spokój, jak niekiedy w czasie upalnych dni lata w niektórych miastach Polski. Gdzieniegdzie tylko przemknie się samochód. Przechodnie nie chodzą tłumnie po ulicach, jednym słowem, weekendowo-poobiednia sjesta. Byliśmy w Luksemburgu w okresie niepełnego sezonu turystycznego. Może inaczej jest w sezonie?

Zespół Pieśni i Tańca WDK dał w krajach Beneluxu 10 koncertów. Chociaż wszędzie był gorąco przyjmowany, to jednak każde środowisko polonijne nieco odmiennie reagowało na występy. Na przykład w Luksemburgii, w okręgu typowo górniczym, reakcja publiczności była wprawdzie bardzo żywiołowa, ale widzowie nie zawsze dostrzegali różnice i niuanse poszczególnych utworów, pieśni i tańców. Natomiast w Gandawie, prastarym mieście uniwersyteckim, w którym mieszka spora liczba b. żołnierzy dywizji gen. Mroczka,

Możesz studiować zaocznie!

W ostatnich dniach na półkach księgarskich i bibliotecznych naszego województwa ukazała się bardzo pożyteczna i „na czasie" książka A. Broniarka i J. Gore-Gorszewskiego pt. „I ty możesz studiować zaocznie".

Książka ta jest przeznaczona dla tych wszystkich obywateli naszego kraju, którzy z tych czy innych powodów nie zdobyli do tej pory wykształcenia średniego ogólnokształcącego, zawodowego czy wyższego, a którzy chcą się uczyć, ale nie wiedzą, jak się do tego zabrać. Jej autorzy pragną zachęcić do podjęcia nauki zarówno tych, którzy jej nie podejmują z obawy, że po latach przerwy w nauce nie dadzą sobie rady z materiałem szkoły średniej czy wyższej, jak i tych, którzy po prostu wstydzą się usiąść na ławie szkolnej ze względu na wiek i zajmowane stanowisko.

Chcąc pokazać czytelnikowi i ewentualnemu kandydatowi do studiów zaocznych, wieczorowych i eksternistycznych możliwości i trudności nauki, autorzy w rozdziale pierwszym omawianej książki, zatytułowanym „Oni studiowali", zamieścili szereg wypowiedzi na ten temat pracowników różnych instytucji, którzy studiowali lub studiują. Wypowiedzi te i omówione w tym samym rozdziale wyniki badań socjologicznych (ankiet) pozwalają spojrzeć na studia pracujących oczami zarówno tych, którzy poznali na podstawie własnego doświadczenia dużo możliwości i korzyści, a zarazem trudności i najrozmaitsze kłopoty studiowania, trudne jego początki, przebieg i radosne zakończenie, jak i tych, którzy na to zagadnienie spojrzeli oczami naukowca.

Po ukazaniu subiektywnych możliwości studiowania, tkwiących w samym człowieku, autorzy książki w rozdziale drugim pt. „Podejmij decyzję", pokazują zainteresowanemu czytelnikowi także obiektywne możliwości nauki, dając mu wyczerpujące informacje o zasadniczych szkołach zawodowych, technikach i szkołach ogólnokształcących dla pracujących, o przygotowaniu się do egzaminów wstępnych do tych szkół, kursach przygotowawczych do egzaminów i o samych egzaminach.

Na treść trzeciego rozdziału książki, zatytułowanego „Gdy będziesz studentem", składają się obszerne wiadomości o ustawie o szkolnictwie wyższym, rodzajach wyższych uczelni w Polsce i ich organizacji, o poziomach i systemach nauki, rodzajach zajęć dla studentów pracujących i o uprawnieniach przysługujących studentom. Ponieważ słowo drukowane (książki i czasopisma) spełnia ważną rolę w studiach i pracy naukowej, autorzy książki zamieścili także w tym rozdziale informacje o ważniejszych bibliotekach w Polsce i możliwościach korzystania z ich zbiorów.

Studiowanie wymaga znajomości techniki pracy umysłowej, dlatego na treść czwartego rozdziału składają się uwagi i wskazówki „Jak się uczyć" i jak zorganizować sobie warsztat domowy pracy umysłowej, by była ona wydajna i prowadziła do zamierzonego celu.

Ostatni rozdział książki, zatytułowany „Kraj na was czeka", zawiera obszerne i dokładne dane o sytuacji, brakach i potrzebach w zakresie kadr z wykształceniem średnim i wyższym w poszczególnych dziedzinach gospodarki naszego kraju. Informacje te mogą być z jednej strony bodźcem do podejmowania studiów, z drugiej winny przyczynić się do właściwego wyboru szkoły i kierunku kształcenia zawodowego.

By informacje o zaocznych i wieczorowych studiach zawodowych i magisterskich dla pracujących były pełniejsze, autorzy książki zamieścili w niej wykaz wszystkich uczelni w Polsce i ich wydziałów. Podejmujący studia będą mogli nie tylko orientować się w strukturze tych uczelni, ale także zwracać się pod właściwym adresem przy zgłoszeniach na wybrane przez siebie kierunki studiów dla pracujących.

Książka zasługuje na baczną uwagę tych wszystkich, którzy nie mają średniego czy wyższego wykształcenia, a którzy powinni i chcą je zdobyć. Może ona pomóc w podjęciu właściwej decyzji w tym zakresie.

FRANCISZEK ŚWIDER

gdy kapela zagrała znaną żołnierską piosenkę „O mój rozmarynie" — na sali zapanowała tak przygnębiająca cisza, wśród której słychać było nie tylko szloch i pociąganie nosem, ale — jak twierdzą niektórzy — nawet spadające łzy na podłogę. A po zakończeniu zerwały się tak burzliwe brawa, że wydawało się, iż ściany tej niezbyt dużej sali zaczną pękać.

O ile znowu w górniczej osadzie Waterschei najbardziej do gustu przypadł widowni polonijny taniec góralski, to znowu w tejże Gandawie, a także w Liege nie było końca burzliwym owacjom na widok zespołu tanecznego w strojach Księstwa Warszawskiego, wykonującego poloneza i mazura.

I takich przykładów można by mnożyć wiele. Obserwacja więc widowni, jej reakcja, nasuwa wnioski, jak drobiazgowo musi być przygotowywany program koncertu.

Kilka słów o Polonii w krajach Beneluxu, ze szczególnym uwzględnieniem Polonii belgijskiej. W Holandii na około 13 mln mieszkańców, jest ponad 4 tysiące Polaków i pewna ilość przyznających się do polskiego pochodzenia. Jest to na ogół środowisko tzw. starej emigracji zarobkowej z okresu międzywojennego. Około 40 proc., to emigranci przybyli do Holandii bądź to jako żołnierze-wyzwoliciele, którzy po zakończeniu wojny nie powrócili do kraju, bądź też b. jeńcy wojenni lub wywiezieni na roboty do Niemiec, którzy po wojnie wyemigrowali do Holandii. Nie ma w zasadzie większych różnic między tymi dwiema zasadniczymi grupami i współpraca istniejących tam organizacji polonijnych układa się na ogół nieźle. Większe skupiska znajdują się w Limburgii Holenderskiej, w Bredzie (wyzwolonej przez armię polską na Zachodzie) i w Axel również wyzwolonej przez oddziały I Dywizji Pancernej.

Polonia Luksemburska liczy około 2 tysięcy, co jest sporo, jeżeli przyjmiemy, że całe księstwo ma 350 tysięcy ludności. Polonia luksemburska jest bardzo rozproszona, bo mieszka w ponad 150 miejscowościach.

I tu podobnie jak w Holandii, składają się na nią „starzy" emigranci okresu międzywojennego i tzw. emigracja nowa. Szczególną aktywność przejawiała Polonia luksemburska w okresie obchodów 1000-lecia. Ich więź z krajem jest na ogół poprawna, wynikająca z głęboko zakorzenionego patriotyzmu.

Osobny rozdział stanowi problem Polonii belgijskiej. Jest ona dość liczna w porównaniu do innych krajów Europy zachodniej. Liczy bowiem ponad 40 tysięcy Polaków, a oprócz tego kilka tysięcy osób powołuje się na swoje polskie pochodzenie. Ludność polska zamieszkuje prawie wszystkie prowincje Belgii, ale największe skupiska znajdują się w Limburgii (okręg górniczy), w Liege, Gandawie, Charleroi, Ostendzie, Antwerpii, a także w Brukseli.

Czym charakteryzuje się Polonia belgijska? Przede wszystkim jest ona dość aktywna, dba o zachowanie polskich tradycji kulturalnych i obyczajowych. Niestety, wielorakość organizacji i organizacyjek, niezliczona ilość kół i kółek, stowarzyszeń i związków, nie ułatwia pracy tzw. Radzie Narodowej, która stawia sobie zadanie jednoczenia środowisk polonijnych.

Ten brak jedności często paraliżuje wysiłki poszczególnych grup i działaczy w rozwijaniu życia kulturalnego, w nauczaniu dzieci i młodzieży języka polskiego, w szerszym nawiązywaniu kontaktów z krajem.

Nie chcielibyśmy wyolbrzymiać roli, jaką spełniły występy zespołu WDK w czasie pobytu w Belgii, ale wydaje się, że właśnie tego rodzaju wyjazdy zespołów artystycznych, koncerty upowszechniające dorobek kulturalny naszego kraju, ułatwia również wzajemne zrozumienie i polepszenie współpracy organizacji polonijnych.

Przecież dzisiaj, po dwudziestu kilku latach pobytu z dala od ojczyzny, wiele ludzi spośród tzw. emigracji nowej (a wśród nich byli początkowo najbardziej nieprzejednani) zaczyna rozumieć wiele rzeczy, inaczej patrzeć na to, co się dzieje w ich starej ojczyźnie.

Coraz więcej z nich pragnie odnowić więzy z pozostałą w kraju rodziną, pragnie odwiedzić tę nową Polskę, gdzie ma możność przekonać się, że uprawiana latami przez reakcyjnych polityków wredna propaganda, jest kłamstwem.

Polonia zagraniczna w swej masie jest na pewno patriotyczna. Świadczą o tym liczne imprezy w obchodach Tysiąclecia Państwa Polskiego, zbiórka na szkoły — pomniki Tysiąclecia. Świadczy o tym jednolita postawa w obronie naszych praw do prastarych ziem piastowskich nad Odrą, Nysą i Bałtykiem. M. in. świadectwem patriotyzmu Polonii szwedzkiej, belgijskiej, brytyjskiej są wyrazy oburzenia na oszczerczą kampanię prowadzoną przeciw Polsce przez koła syjonistyczne na Zachodzie.

Byliśmy świadkami faktu potępienia oszczerczej kampanii syjonistycznej przez Polonię belgijską. Również w naszej obecności, w czasie pożegnalnego wieczoru przed wyjazdem z Belgii, nieliczna grupa naszych gospodarzy przeprowadzała zbiórkę na fundusz budowy Pomnika-Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie. W ciągu kilku minut zebrano ponad 4 tysiące franków belgijskich, które wręczono sekretarzowi Towarzystwa Łączności z Polonią zagraniczną — Romanowi Brożowi, aby przekazał tę kwotę komitetowi budowy.

Fakty te pozwalają wierzyć, że spośród tych 10 milionów Polaków rozsianych po świecie, poza granicami, większość miłuje ojczyznę swoich ojców.

Jedną z form, która pomaga w utrwalaniu więzi w nawiązywaniu kontaktów z Polonią jest m. in. przekazywanie książek, pism, filmów, kierowanie do środowisk polonijnych zespołów artystycznych. Tego rodzaju „eksport" opłaci się stokrotnie, bo przysparza nam „dewiz", które nie mają ceny.

KALMAN SEGAL

OPOWIEŚĆ O SAMOTNYM MECENASIE I PIĘKNEJ DZIEWCZYNIE

Opowieść, którą pragnąłbym Państwu opowiedzieć jest wprawdzie od początku do końca wyssana z palca, mimo to jednak jest to opowieść, która może zainteresować wielu ludzi i to zarówno smutnych, jak i wesołych. Zarówno młodych, jak i starych; zarówno kobiety, jak i mężczyzn, ale szczególnie mężczyzn samotnych i zniechęconych do życia.

Oto jeden z nich. Średniego wzrostu, o twarzy dość inteligentnej i smutnej, o cerze żółtawo-zielonej. Stoi w środku pokoju i patrzy niespokojnie na drzwi, oczekuje kogoś. Rozlega się dzwonek.

I tak się ta opowieść zaczyna.

Do pokoju weszła młoda dziewczyna o imponującej urodzie, dość wysoka, można powiedzieć, że prawie smukła, o włosach czarnych i delikatnej różowej cerze, o oczach migdałowych i słodkim uśmiechu na ustach, które nie były pozbawione wyrazu namiętności.

— Dzień dobry, panie mecenasie — powiedziała dziewczyna.

— Dzień dobry, droga pani. Czekam na panią od świtu.

Dziewczyna przeprosiła za spóźnienie. Przez całą noc była bardzo zajęta, spędziła tę noc u łoża jednego barona, który był bigamistą, z tego powodu zbrzydło mu życie i po wielu latach przemyślań powziął decyzję. Właśnie tej nocy, nad ranem, tuż przed wschodem słońca, zgasł jak świeca.

Mężczyzna, którego dziewczyna tytułowała mecenasem, wysłuchał i skrzywił się lekko.

— Taki baron — powiedział z ironią. — Takie zero. Cierpiał?

— Skądże! — roześmiała się dziewczyna. — Przy mnie nikt nie cierpi.

— Droga pani — zaproponował mecenas. — Zechce pani usiąść.

Dziewczyna chciała usiąść, ale w całym pokoju nie było ani jednego krzesła. W ogóle był to pokój zupełnie pusty.

— Istotnie — przyznał mężczyzna. — Zapomniałem, że już wyniesiono meble. Jednak moglibyśmy usiąść na podłodze.

— Możemy na podłodze — zgodziła się dziewczyna. — Ale może wpierw zamkniemy drzwi na klucz?

Mecenas zawahał się, po jego twarzy przesunął się cień niechęci.

— Nie lubię zamykać drzwi na klucz. Ale niech pani zamknie... — powiedział, unikając jej wzroku. — Nie wiem, czy pani to zrozumie...

— Ja wszystko potrafię zrozumieć — skwapliwie zapewniła dziewczyna. — To należy do moich obowiązków. Zrozumieć, wysłuchać, ulżyć. Do końca. A potem odejść.

I zapytała, dlaczego mecenas niechętnie zamyka drzwi na klucz. Albo na łańcuch.

Mecenas wyjaśnił jej to, rozpoczynając od wspomnień z czasów młodości. Jeszcze wtedy nie był mecenasem, bo mecenasem nie można być za młodu, to przychodzi później, z wiekiem. W ogóle za młodu mecenas nie był jeszcze prawnikiem. W tamtych czasach poznawał dopiero prawo od drugiej strony, od negatywu.

— Prawo jest ideą pozytywną — powiedział mecenas z lekkim zażenowaniem. — A ja w owym czasie zajmowałem się bezprawiem. Interesowały mnie problemy przestępstwa w ich praktycznej formie. Pracowałem, oczywiście na sucho, na małą skalę, bez przelewu krwi. Drobne skoki solowe. Szopenfeldziarstwo. Strychy, mieszkania...

— Piwnice — podpowiedziała dziewczyna.

— Owszem — przyznał mecenas. — Piwnice także. Chodziłem z walizeczką, walizeczka była mała, ale bardzo ciężka. Palnik acetylenowy, klucze francuskie, wytrychy, wiertła, młotki, łomy, mnóstwo tych rzeczy było, było co dźwigać. Chodziłem i modliłem się; byłem jeszcze w tamtych latach wierzący i praktykujący. Dzisiaj też jestem praktykujący, ale już niewierzący. Dzisiaj jestem smutny.

— Rozumiem — powiedziała dziewczyna współczująco. — Pan umiera na smutek.

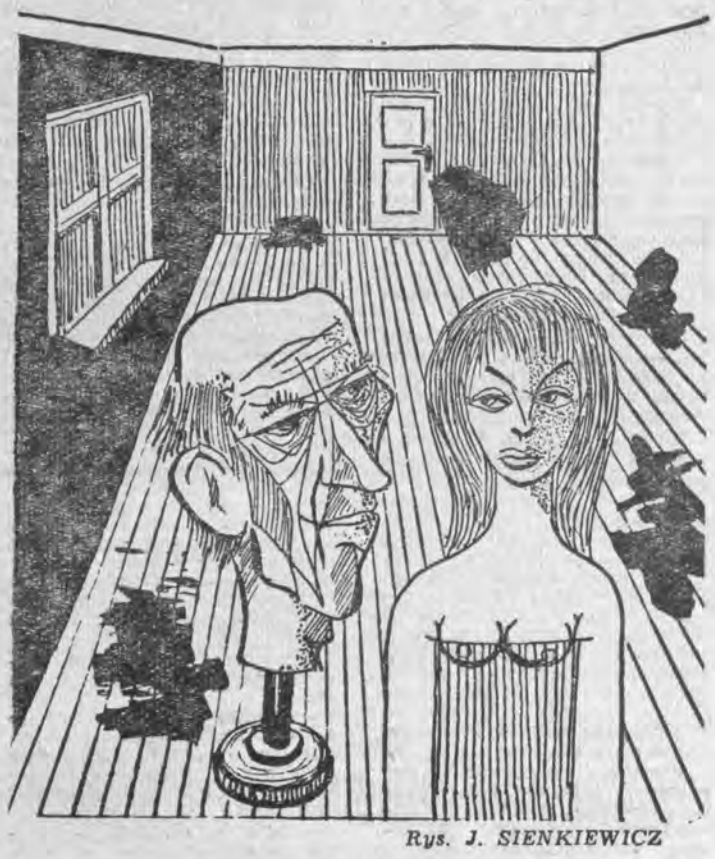

Rys. J. SIENKIEWICZ

— Więc na czym ja to skończyłem... — zagubił się mecenas.

— Pan mecenas chodził i modlił się.

— A tak — podjął temat. — Chodziłem i modliłem się. Gorąco. Żarliwie. Ufnie. Z całego serca. Prosiłem Boga, żeby choć trochę ulitował się nade mną i ułatwił mi to moje nędzne życie i mój trudny i niebezpieczny zawód. Pani nie ma pojęcia, ile strachu trzeba się najeść, żeby cicho i dostatecznie szybko otworzyć taki cholerny maleńki zameczek patentowy, jak ten choćby, przy tych drzwiach.

— I pan prosił Boga, żeby się panu udało łatwo ten patentowy cholerny zameczek otworzyć... — domyśliła się dziewczyna.

— A, nie, nie tylko o to — wyjaśnił cierpliwie mecenas. — Prosiłem, żeby ktoś wychodząc w pośpiechu z mieszkania, zapomniał zamknąć drzwi. To kolosalnie ułatwiłoby całą pracę. No, i to, by także zmieniło kwalifikację przestępstwa. Wejście do otwartego mieszkania nie jest włamaniem. Otwarte mieszkanie bez ludzi, to po prostu mieszkanie opuszczone. A to co jest wewnątrz mieszkania, to opuszczone mienie. Zupełnie inny artykuł i zupełnie inny paragraf.

— Szalenie interesujące — szepnęła dziewczyna. — Szalenie.

— I właśnie wtedy... — ciągnął dalej mecenas. — Właśnie wtedy złożyłem odpowiednie ślubowanie. Przysiągłem, że jeśli kiedyś stanę się uczciwym człowiekiem, będę zawsze zostawiał drzwi otwarte.

Dziewczyna słuchała z wypiekami na pięknej twarzy. Domyślała się ile to strachu wymaga takie jedno włamanie. Ile nerwów.

— Właśnie — powiedział były włamywacz. — Ile nerwów. A kiedy człowiek jest zdenerwowany, zapomni się i dotknie czegoś niepotrzebnie, zostaje wtedy odcisk palców, a gliny tylko na to czekają.

Opowiadanie mecenasa ogromnie podnieciło dziewczynę. Drżała. Przysunęła się do opowiadającego i poprosiła, by zechciał jej podać dłoń. Mężczyzna podał jej obie dłonie i opowiadał dalej.

— Najlepiej pracowało się przy otwartych drzwiach. W samo południe. W słoneczny dzień. Człowiek miał nastrój do pracy i wychodził z mieszkania z lekkim sumieniem. Miało się jakieś wewnętrzne przekonanie, że się jest niewinnym. A to przecież jest najważniejsze.

Umilkł i zamyślił się. Dziewczyna zapytała czy można już przystąpić do rzeczy, czy pan mecenas jest już należycie przygotowany do tego co ma nastąpić.

Mecenas odparł, że zawsze był racjonalistą i zawsze liczył się z tym, że pewnego dnia to nastąpi. Nikt bowiem nie żyje wiecznie.

Dziewczyna zapytała, czy pan mecenas jest także przygotowany formalnie, a nie tylko emocjonalnie. Chciała też wiedzieć czy był już lekarz.

Mecenas odparł, że było dwóch lekarzy — jeden profesor. Także inne sprawy zostały już załatwione, długi spłacone, pies oddany do przytułku, oszczędności zaś przeznaczone na cele dobroczynne, a szczególnie na budowę domu dla notorycznych przestępców, którzy w starszym wieku opuszczają bramy więzienia i są bardzo samotni.

Dziewczyna zapytała, czy pan mecenas nie ma żalu do ludzi.

— Wprost przeciwnie! — powiedział mecenas. — Ludzie zawsze okazywali mi dużo serca.

— Zostawiali drzwi otwarte?

— O, bardzo często.

— Pan kocha ludzi — z podziwem szepnęła dziewczyna.

— Kocham ludzi i kochałem też mój późniejszy zawód, zawód prawnika, mecenasa i obrońcy sądowego. Broniłem złodziejów przed ręką prawa. Ale też broniłem prawa przed rękami złodziejów. W ten sposób starałem się w miarę moich skromnych sił dopomóc utrzymać równowagę świata na tej ogromnej huśtawce, jaką jest życie.

Dziewczyna powiedziała, z zachwytem, że pan mecenas jest wspaniałym człowiekiem. I zaznaczyła, że nie posiada zbyt wiele czasu, muszą ze wszystkim uporać się szybko, bo popołudnie ona musi spędzić u pewnego fabrykanta octu i musztardy. Ten fabrykant ma ogromny majątek i bardzo nie chce umierać w samotności, ma strasznego pietra przed śmiercią.

(Ciąg dalszy na str. 6)

KALMAN SEGAL

OPOWIEŚĆ O SAMOTNYM MECENASIE I PIĘKNEJ DZIEWCZYNIE

(Ciąg dalszy ze str. 5)

— Biedaczysko — westchnął mecenas. — Wcale mu się nie dziwię. Co on z tą musztardą zrobi na tamtym świecie?

— Nikt nie chce umierać w samotności — stwierdziła dziewczyna i zapytała, czy mecenas nie chciałby zatańczyć.

— Wątpię — odparł apatycznym głosem. — Raczej nie.

— Moglibyśmy się pocałować... — kusiła piękna dziewczyna.

— Pocałujemy się później — przyrzekł mecenas. — A teraz napijemy się czegoś na wzmocnienie. W szafce jest koniak. Proszę otworzyć butelkę i nalać do kieliszków.

Dziewczyna uśmiechnęła się przez łzy i zauważyła, że w pokoju nie ma szafki, nie ma kieliszków i nie ma koniaku, mecenas widocznie zapomniał, że meble zostały już wywiezione. Jedynie w kącie na podłodze stała napoczęta butelka wódki, a także kilka buteleczek z lekarstwem. Dziewczyna zgarnęła wszystkie pigułki i kropelki i wyrzuciła przez okno.

— Już panu nie będą potrzebne — powiedziała. I zapytała na jaką chorobę mecenas chorował tak nieuleczalnie, że aż do tego doszło.

Mecenas wyjaśnił, że lekarze nie byli jednomyślni w swych rozpoznaniach.

— Jeden twierdził, że w samym środku mojego serca zagnieździł się maleńki bakcyl. Ot, tyci... A zaś profesor — profesor z całą stanowczością zaprzeczył. Według opinii profesora nie ma w sercu żadnego bakcyla. Według rozpoznania profesora tacy ludzie jak ja umierają po prostu ze smutku. Ze smutku i samotności. I sądzę, że to może być prawda, bo ten profesor wyglądał na człowieka z głową.

Mecenas mówił to głosem pełnym żałości. Dziewczyna przysunęła się do niego i zapytała, czy nie chciałby jej dotknąć lub popieścić.

Mecenas był zakłopotany, zastanawiał się przez chwilę, po czym odparł, że jest mu bardzo smutno i że w tej sytuacji byłoby rzeczą niewłaściwą całować lub pieścić tak piękną dziewczynę.

— Jest mi tak smutno, że teraz to już chyba długo nie potrwa. Taki jestem samotny. Nie mam ojca, ani matki. Nie mam małżonki. Ani dziecka. Ani sekretarki. Ani nawet kanarka. Nikogo nie mam. Jestem biedny i muszę umrzeć.

Dziewczyna zapytała, czy zawsze był taki samotny i taki smutny.

— Dawniej bywało inaczej — westchnął mecenas. — Dawniej nie zastanawiałem się nad istotą samotności. Nie myślałem o takich rzeczach. Byłem człowiekiem czynu. A raz w tygodniu, najczęściej w niedzielę, oddawałem się marzeniom. Marzyłem o różnych rzeczach, o różnych ludziach. O różnych porach roku. O krajobrazach. A szczególnie jedno marzenie powtarzało mi się najczęściej: Długa droga wśród łąk, mnóstwo margaretek i złocieni na łące, łagodne ciepło letniego poranka, jeszcze błyszczą krople rosy na listkach traw i na płatkach kwiatów. Idę tą drogą, idę, idę, idę długo, nie marszem i nie krokiem spacerowym, ale niezwykłym krokiem człowieka szczęśliwego, który pragnie przedłużyć tę drogę w nieskończoność. Więc ja sobie tak idę wśród kwiatów, droga wije się łagodną spiralą wokół wzgórza, potem efektowną serpentyną wciąż wyżej i wyżej, wciąż wyżej i wyżej po słonecznym stoku góry, czym wyżej i dalej, tym piękniej i piękniej. A na samej górze — las. Młody las o subtelnej zieleni debeczaków i zapach grzybów i świergot ptasi, ach — gdyby pani to mogła usłyszeć, gdyby pani to mogła usłyszeć.

Dziewczyna zamknęła oczy i powiedziała, że wszystko słyszy.

— A w słońcu fruwały motyle o skrzydłach bajecznie kolorowych i ogromnych jak skrzydła aniołów. Nagle ścieżka po której kroczę, urywa się. Przede mną — dom. Domeczek. Maleńki, z okrągłych bierwion, między bierwionami aksamitny mech — śmiesznie mały ten domeczek. A w drzwiach — dziewczyna. Smukła jak topola, piękna. Włosy ma jasne jak pszenica w okresie dojrzewania Tuż przed żniwami.

Umilkł na chwilę, by opanować wzruszenie, a dziewczyna zauważyła, że świat jest taki dziwny, a ludzie tacy sentymentalni. Nigdy nie sądziła, że pan mecenas mógłby być taki uczuciowy.

Mecenas pominął tę uwagę milczeniem i kontynuował swoją opowieść.

— Dziewczyna wyciągała ku mnie ramiona takim gestem, jakby na mnie czekała całe życie. I ja też wyciągałem ramiona, do niej. W kącie pachniało skromne łoże, usłane z wonnych ziół i liści. W chwili gdy brałem dziewczynę w objęcia, marzenie urywało się i ja... budziłem się. Wszystko było tylko snem. A pewnego dnia — to było równo przed rokiem — dziewczyna rozpłakała się na mój widok i zniknęła, rozwiała się. I od tego czasu już nie było ani snów, ani marzeń, ani dziewczyny o włosach koloru dojrzewającej pszenicy. Właśnie od tego czasu zaczął się mój smutek. Moja śmiertelna choroba. Mój bakcyl w samym środku serca.

Dziewczyna wybuchnęła płaczem, tak ją to opowiadanie wzięło.

— Dlaczego pani płacze? — zdziwił się mecenas — Ja umieram, a pani płacze? Zabija mnie pani tym łkaniem. Zatruwa mi pani całą przyjemność umierania.

— Ależ ja cierpię! — wybuchnęła dziewczyna — Wam wydaje się, że jestem tylkę pięknym, bezdusznym automatem, który za ustalone honorarium potrafi przegnać strach przed śmiercią. Jeden jest umierającym baronem, drugi mecenasem cierpiącym na smutek, trzeci jest konającym fabrykantem musztardy. Umieracie ze strachu przed życiem, boicie się życia i boicie się śmierci. Dzwonicie po mnie, a ja bez względu na porę dnia lub nocy, pędzę jak wariatka, ubieram najkrótszą spódniczkę, żeby wam sprawić przyjemność, wciągam na łeb czarną perukę, bo nie wiem kogo umierający pan mecenas woli — brunetkę czy blondynkę. I każecie się zabawiać monologami, striptisami, pieszczotami albo każecie sobie opowiadać bajki o sensie życia. Byłam raz wzywana do jednego lichwiarza, który uparł się, że nie umrze, dopóki nie usłyszy Pasji według św. Mateusza.

— I co? Usłyszał?

— Przytaszczyliśmy z muzeum ogromny gramofon i przez całą noc słuchał.

Mecenas wziął płaczącą dziewczynę w ramiona i bezskutecznie usiłował ją uspokoić.

— Niech was szlag trafi — krzyczała płacząc. Nie chcę już mieć do czynienia z żadnymi baronami. I z żadnymi pogrzebami. Nienawidzę musztardy. Rozumiesz? Ty przeklęty mecenasie.

A po chwili przytuliła się do niego i szepnęła czule:

— Ach, jaki ty jesteś przystojny. Nie chcę, żebyś umierał. Nie chcę, nie pozwalam.

— Uspokój się — powiedział mecenas — wypij łyk alkoholu, to cię wzmocni.

— Nie upijaj mnie. Jeśli mam cierpieć, to chcę cierpieć na trzeźwo. Świadomie. I nie chcę już nikomu oczu zamykać. Nikomu nie będę asystować. Chcę pójść na łąkę, gdzie jest ten twój domek na wzgórzu. I ty pójdziesz ze mną.

— To szaleństwo! — wykrzyknął mecenas — na to jest już za późno. Wyprzedałem już wszystkie graty, pieniądze rozdałem na cele dobroczynne. Moja godzina już nadchodzi. Słyszę już jakiś niezwykły szum. Głosy jakieś. Nic nie słyszysz?

— Nie. Nie słyszę. Wypij kieliszek, to cię postawi na nogi.

Mecenas odparł, że chciałby stanąć przed Tamtą Bramą w stanie trzeźwym.

— Jeszcze pożyjesz — pocieszała go dziewczyna. — Jeszcze nie musisz umierać. Fabrykant ma paskudny proces o sfałszowanie musztardy i dlatego zbrzydło mu życie. Baron musiał umrzeć, bo miał dwie żony. Lichwiarz musiał zejść ze świata, bo kochał pieniądze i wszystkie stracił. Ale ty nie kochasz pieniędzy i nie masz dwóch żon. Jesteś starym kawalerem i więdniesz z samotności i tęsknoty. Ale ja cię uratuję i ty zaprowadzisz mnie na wzgórze, gdzie jest ten maleńki domek. Zawsze marzyłam o kimś takim jak ty. Mecenas... Jak to pięknie brzmi. Dumnie i czarująco. Zawsze chciałam kochać mecenasa. I nareszcie to się spełniło, mój ty smutku najdroższy. Mój kawalerze stary.

Objęła mecenasa ramionami i złożyła na jego ustach gorący pocałunek. Mecenas rozpłakał się. Nagle ktoś zaczął majstrować przy drzwiach. Mecenas ożywił się, nasłuchiwał przez chwilę i powiedział, że już ktoś zamek rozwalił. Istotnie po chwili drzwi skrzypnęły i do pokoju wszedł drobny mężczyzna z walizeczką w ręku.

— Kim pan jest, do ciężkiej cholery? — zapytał mecenas.

— Przecież pan widzi, kim jestem... — odparł przybysz.

— Włamywacz! — krzyknęła zachwycona dziewczyna.

— Iii... Jaki tam ze mnie włamywacz... — usiłował zbagatelizować sprawę człowiek z walizeczką

— I walizeczka z narzędziami jest — roześmiał się mecenas, który przypomniał sobie własną burzliwą młodość.

— Wszystko przestarzałe — wyjaśnił włamywacz. — Palnik acetylenowy, parę wierteł, siekiera. łomik. I to wszystko.

— Wystarczy, żeby móc obrabować bank... — powiedział mecenas.

— Co za słowa! — oburzył się rzezimieszek. — Po prostu dowiedziałem się, że dzisiaj to mieszkanie będzie opuszczone. Powiedzieli mi, że ktoś tu ma dzisiaj umrzeć. To pan miał umrzeć?

— Ja... — przyznał mecenas.

— No właśnie. Nie wygląda pan na umarłego. Wprost przeciwnie. Widzę, że zabawia się pan niezgorzej z tą panienką. I po co ja ten zamek rozbiłem, skoro pan w ogóle nie umarł?

— Przepraszam — szepnął skruszony mecenas. — Rozmyśliłem się.

— A to tak można: rozmyślić się?

— Można — wyjaśniła dziewczyna. — Kiedy człowiek dobrze pomyśli, to może się rozmyślić.

Włamywacz wyraził swoje zwątpienie. Powiedział, że on sam już wiele razy usiłował się rozmyślić, szczególnie wówczas, gdy udaje się na skok, ale nigdy mu się to nie udaje. Powiedział też, że jest bardzo zmęczony, bolą go nogi i chętnie by usiadł na chwilę. Mecenas zaproponował mu, by usiadł na podłodze, a dziewczyna podała mu butelkę, by łyknął odrobinę alkoholu. Włamywacz wypił, podziękował i nabrał ochoty do zwierzeń.

— Szedłem tu, taszcząc tę przeklętą walizeczkę z narzędziami... — powiedział. Macie pojęcie, jakie to jest ciężkie? Szedłem i modliłem się: żeby choć raz Pan Bóg ulitował się i sprawił cud, żeby ten zamek nie był zamknięty na klucz.

— Ja to rozumiem — powiedział z uśmiechem mecenas.

Włamywacz ociężale podniósł się z miejsca, podziękował, pożegnał się uprzejmie i wyszedł.

Dziewczyna i mecenas ująwszy się za ręce, podeszli do okna. Miasto tonęło w promieniach wiosennego słońca. W parkach rozkwitały drzewa. Niebo było koloru najczystszej ultramaryny.

Mecenas wyciągnął ramiona przed siebie, jakby chciał nimi objąć cały świat i przytulić go do serca.

● Korespondencje ● Dyskusje ●

„Filozofowie ludzkiej niemocy"

Zabierając głos w dyskusji nad artykułem zamieszczonym w Nr 23 (349) Tygodnika Społeczno - Kulturalnego WIDNOKRĄG pt. „Filozofowie ludzkiej niemocy" trzeba podkreślić trafność oceny środowiska warszawskich filozofów przez autora artykułu Stanisława Cieniawę. Autor słusznie podkreślił, że zajęcie błędnych pozycji (błędnych pod względem metodologicznym) na gruncie ontologii prowadzi do wypaczeń w teorii poznania a w konsekwencji rzutuje na poglądy aksjologiczno - antropologiczne warszawskich filozofów. Przykładem tych wypaczeń mogą być dwie ostatnie prace Adama Schaffa (Filozofia człowieka, 1962 oraz Marksizm a jednostka ludzka, 1965). Prawdą jest, że marksizm jako system filozoficzny i jako kierunek filozoficzny ma pewne luki zwłaszcza w zakresie etyki i antropologii filozoficznej. Zdaje sobie z tego sprawę Adam Schaff pisząc: *„Luka teoretyczna w filozoficznym rozwoju marksizmu, o której mówi Sartre i której nie można zanegować, okazała się doniosła i bolesna w skutkach. Chociażby dlatego, że nieobecni zawsze przegrywają. A myśmy okazali się nieobecni na poważnym odcinku walki ideologicznej, i to w momencie nader krytycznym:* (Filozofia człowieka s. 18). Nieco dalej autor dodaje *„Kariera" egzystencjalizmu była u nas w dużym stopniu dziełem naszych własnych rąk, ściślej: była skutkiem naszej ideologicznej absencji.* W konkluzji Adam Schaff stwierdza, że *lukę tę na gruncie marksizmu trzeba koniecznie uzupełnić.* Powstaje więc pytanie o ile wymienione dwie prace Adama Schaffa lukę tę wypełniają.

Dyskusja, jaka odbyła się 12 października 1965 roku w redakcji „Nowych Dróg" nad książką Adama Schaffa pt. „Marksizm a jednostka ludzka" wykazała, że autor w swej pracy postawił wiele problemów fałszywie i w sposób fałszywy zinterpretował. Dotyczy to m. in. analizy pojęcia „alienacja". Teoria alienacji w ujęciu Schaffa, słusznie może być nazwana filozofią ludzkiej niemocy.

Na podkreślenie zasługuje fakt, że Schaff w ostatnich swych pracach starał się marksizm uczynić ideologią eschatologiczną. Podkreślił to m. in. ks. Wincenty Granat w swej „Dogmatyce katolickiej, Synteza — Lublin 1967 r., s. 481 pisząc: *„Nawet ci, którzy wypowiadają się za zamknięciem całkowitym gatunku ludzkiego w kręgu ziemi czy kosmosu materialnego, zadają sobie często pytanie mające charakter eschatologiczny".* I w tym właśnie miejscu przytacza autor poglądy Adama Schaffa, który moim zdaniem na gruncie antropologii filozoficznej może jeszcze jest materialistą ale marksistą na pewno nie jest.

Znamienne w pracy Schaffa jest dokonywanie uogólnień w oparciu o pojedyncze fakty. Oto jak autor stara się uzasadnić, że zapotrzebowanie na problematykę typu „sensu życia" jest wśród naszej młodzieży szczególnie ostre:

„Że zapotrzebowanie na problematykę typu „sensu życia" jest teraz szczególnie ostre — nie ulega najmniejszej wątpliwości. Utkwiło mi w pamięci spotkanie ze studentami w osiedlu Jelonki: po odczycie na tematy światopoglądowe zaczęły padać pytania dotyczące etyki, a wśród nich na pierwszym miejscu pytanie o sens życia". (Filozofia człowieka, s. 80).

Badania psychologiczne wśród młodzieży robotniczej i chłopskiej nie potwierdzają tych uogólnień. Znalazło to potwierdzenie w licznych artykułach na łamach czasopisma „Wychowanie".

MARIAN JANIGA

Pozdrowienia z Bieszczadów *Fot. M. KOPEC*

Korespondencje ● Dyskusje ● Polemiki ● Dyskusje

SZANOWNA REDAKCJO!

Na wstępie przepraszam, że ośmielam się pisać na temat, być może mało ważny. Mam jednak nutkę nadziei, że mój „głos z terenu" może się przydać w dyskusji nad filmem lub jako myśl do artykułu na temat kultury życia codziennego.

Jestem z tego rodzaju widzów, którzy nie zawsze mają czas prześledzenia wszystkiego, co napisano o każdym filmie, czasem więc kieruję się oceną usłyszaną w kręgu znajomych, „podsłuchaną" u nieznajomych czy też migawkami z ostatniej bytności w kinie. O filmie „Żywot Mateusza" usłyszałam opinię: mętny, słabizna, dłużyzny. Wolałam pójść jednak, obejrzeć, przekonać się!

...Poszłam jednak zakupić bilet. I cóż ujrzałam? Film — oryginał, naprawdę dobry, moim skromnym zdaniem.

Po wyjściu z kina, mimo woli usłyszałam dyskusję dwóch kobiet. Cytuję: Pierwsza — „dobry film", druga — „no wiesz? Nie udawaj znawcy, sama przecież wiesz, że słabizna, więc po cóż się tak wysilasz?"

Szanowna Redakcjo — powiesz: wiemy, znamy, sprawa dyskusyjna, zależy, czego widz oczekuje, zależy — jak na dany film patrzy itp. Ten dobry, piękny film jednak był odpowiednio zrozumiany przez mniejszą część widzów, a więc w sumie mam bardzo smutne refleksje.

Oto moje wnioski:

1) jak znikoma ilość wypowiadanych słów w filmie i ograniczoność miejsc akcji, tak wąski był świat Mateusza,

2) może nas nie obchodzić jakiś tam „pomylony", ale powinna zainteresować dobroć serca, czułość najserdeczniejsza (do przyrody) itp.,

3) nie potrzeba słów, sam aktor wyraził więcej mimiką swej twarzy (świetna, wspaniała gra aktora Pieczki),

4) wszystko, co zobrazował reżyser, było potrzebne i dobrze zrobił, że nie ukazał nic więcej, nie dopatrzyłam się żadnych dłużyzn (duże brawa dla reżysera Leszczyńskiego),

5) odpowiednia oprawa muzyczna (może znalazłaby się lepsza, ale jako laik nie zabieram głosu),

6) film-symbol, film-niepowtarzalny, pobudzający do refleksji, wprowadzający człowieka w dziwny stan duchowy, wnoszący jakiś wielki spokój w przepracowaną głowę widza,

7) zdecydowany brak rozlewności uczuć czy „cukierkowatości", czego jest mnóstwo w filmach amerykańskich (oczywiście z zastrzeżeniem, gdyż są w ich produkcji filmy tzw. extra),

Oto, co mam na obronę tego filmu. Rodzi się więc pytanie — czego chcą widzowie, którzy osądzili go jako „mętny"?

Pytanie — czyż ekranem ma zawładnąć tylko western, kryminał, kostiumowe bajeczki? (przyjemne zresztą, ale jako pierwsza przestałabym uczęszczać do kina, gdyby wyświetlano same bajeczki).

Film jest najpopularniejszą formą rozrywki po pracy, dla szerokich mas ludzi pracy. Rodzi się więc prośba pod adresem widzów (sama niczego nie uzyskam, stąd zwracam się do Ciebie Redakcjo), aby niektórzy spośród nich przed wydaniem opinii mieli na uwadze „receptę": „dzisiaj ty wyjdziesz z kina zadowolony, jutro zaś ja", albo: „nie wydam opinii, gdy nie obejrzę, lub nie przeczytam wzmianki w prasie".

Łączę serdeczne pozdrowienia

stała Czytelniczka
Leżajsk

Filmy archiwalne — ileż ich było! Czasem odnoszę wrażenie, że telewizja — to wyłącznie wielki iluzjon, w którym trudno o film współczesny...

Oczywiście kopie są przeważnie niedobre, dźwięk odstrasza najwytrwalszych, ale gdzież, zwłaszcza w naszym mieście, w którym iluzjon to właściwie pojęcie nieznane, obejrzeć tę klasykę, te początki nowej sztuki wielkich antenatów dzisiejszych Godardów, Fellinich? Gdzież sprawdzić z żalem, że puste dziś nazwiska, jak choćby Carne, stanowiły fundament nowatorstwa przed paroma dziesiątkami lat? Gdzie zobaczyć Glorię Swanson, Betty, Davis, Stroheima, Garbo, młodziutkiego Gabina, o którym ktoś pięknie a zabawnie powiedział, że na wózku inwalidzkim jeszcze będzie grywał amantów i to bynajmniej nie żałosnych? Gdzie są możliwe festiwale claireowskie, aktorskie — jak ów z Gerardem Philippe? I gdzie lepiej zobaczyć, naocznej, że film jest sztuką przypominającą kobietę: wczoraj piękna, bardzo a la mode, wszyscy o niej mówią — dziś już nie ma co pokazać...

Jest bowiem w sztuce filmowej weryzm nie do uniknienia, właśnie w dziedzinie obyczaju, mód panujących, aktualności publicystycznej — a więc są te elementy, które najszybszym ulegają przemianom, które czas okrutnie demaskuje, które rażą oko i zupełnie szybko stają się bądź obojętne, bądź staroświeckie. I jest w sztuce filmowej swoiste, niemożliwe gdzie indziej, przytrzymanie czasu w ruchomym obrazie, które nie tylko bywa dokumentem, ale i harmonijnym konterfektem epoki oraz portretem aktorstwa doskonałego.

A wszystko to mi się napisało, bo zobaczyłam młodego Jacka Woszczerowicza — Jemioła w „Znachorze" i „Prof. Wilczurze" — dwóch pierwszych częściach trylogii Michała Waszyńskiego, którą oglądałam przed laty tylko dzięki pożyczonej legitymacji szkolnej od koleżanki ze starszej klasy i wracałam po niej do domu z oczami pudpuchniętymi od łez, przez żałość tę nie tykając kolacji, z żałości nie mogąc zasnąć, z emocji śniąc o małym kinie w Radoliszkach i taperce — Marysi. We snach waliły się na mnie z hukiem wiekowe dęby, porywali hrabiowie, obmawiały plotkary — nie całkiem jak w życiu — ale — czyż rzeczywistość nie bywa gorsza, lub bodaj równie straszna?

I po raz pierwszy zdołałam zapamiętać dziwne brzmienie nazwiska aktora: Junosza Stępowski! Dziś rzeczywiście przyznaję, że film był dla niego, o nim, dzięki niemu także. Że dalej pozostał w nim świetnym aktorem, że demaskuje poprzez świetność własnego aktorstwa niemożliwą do przyjęcia manierę łzawej melodeklamacji współpartnerów — wszystko to przyznaję. Ale obok Stępowskiego jest w tym filmie aktor, który, cały jest historią i tradycją aktorstwa intelektualnego, któremu — któż stawi czoła? — Jacek Woszczerowicz. I oglądałam dla niego te sentymentalne eposy o przedwojennym Judymie, dumając nad rolą, której mi ciągle mało, nad filozofią nieco tandetną, nieco demoniczną tej postaci, ale już wtedy zapowiadającą i rozpoczynającą proces krystalizacji osobliwego genre'u scenicznego największego z aktorów polskich.

Z rzewnością przeto skąpawszy się we wspomnieniach dzięki telewizji — biegiem i z nieczystym sumieniem, żem inne programy skrzywdziła — bodaj trzy z nich wymienię, by całkiem proporcji nie wykrzywić:

„Asmodeusza" Mauriaca w reżyserii Bratkowskiego — spektakl świetny, zanurzony w wielką psychologię, w duszną atmosferę kraju landów i sosen, które tak upodobał sobie wiekowy dziś niemal moralista, gdzie i Mrozowska, i Holoubek i zwłaszcza Lipińska — Olbrychski rozgrywali stawkę o czystość serca niczym biblijne demony z aniołami;

„Refleksje" — z arcyciekawym tematem naszego stosunku do własności społecznej, z którego utrwaliło mi się jedno, mądre zdanie: że w socjalizmie ta własność powiększyła się stokrotnie i należy społeczeństwo tego stosunku uczyć bez pośpiechu — za to z uwzględnieniem procesów historycznych, które wykrzywiły to pojęcie, łącząc je rządem zaborcy, okupanta;

i wreszcię wspomnę z satysfakcją jedyną od tygodni pozycję par excellence rozrywkową — „Kobieta już nie jest aniołem", którą uczęstowała nas za pomocą smakowitej reżyserii Ewa Bonacka, dobierając do niej wykonawców albo znakomitych, albo zabawnych, albo.. znanych. Co wystosniowałam z rozmysłem i też może być pochwałą.

KRYSTYNA

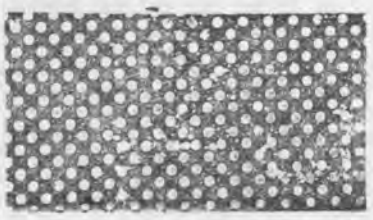

Dwusetne przedstawienie „O sierotce Marysi i krasnoludkach"

Rzeszowski Teatr Lalki i Aktora „Kacperek" podczas 16-letniej działalności wystawił wiele sztuk, ale największym powodzeniem cieszyło się i cieszy w dalszym ciągu przedstawienie „O sierotce Marysi i krasnoludkach". Widowisko przeznaczone jest dla dzieci w wieku przedszkolnym i dzieci młodszych klas szkoły podstawowej.

Teatr działa wyłącznie w terenie, gdzie zorganizował przedstawienia w 84 miejscowościach. W tych 200 spektaklach brało udział 47 547 widzów. Jest to liczba bardzo duża i „Kacperek" zawdzięcza ją przede wszystkim aktorom, którzy ułatwiają młodym widzom odbiór sztuki.

Podczas przedstawienia dzieci musiały wykazać umiejętność skupienia uwagi, właściwego obserwowania tego, co się na scenie działo. Patrząc na nią śledziły zachowanie kukiełek, słuchały tego co mówią i nie gubiły się w oglądaniu drobiazgów.

Ich stosunek do sztuki można było odczytać z zachowania na przedstawieniu, które podobało się, bo uważały pilnie, dawały wyraz swoim uczuciom wstając z krzesła, krzycząc, śmiejąc się lub nieruchomiejąc na miejscach. Sztuka na pewno wywarła na widza dziecięcego wpływ wychowawczy bądź przez prowokowanie ocen postępowania bohaterów, bądź poprzez wywołanie określonego stosunku do nich oraz różnorodnych reakcji emocjonalnych, np. reakcji współczucia. Postaci sztuki były psychologicznie przekonujące i dzieci solidaryzowały się z bohaterami, którzy trafiali do ich wyobraźni i przekonań. Bardzo cenne były sytuacje, w których aktorzy po wprowadzeniu do tekstu niezrozumiałego wyrazu natychmiast go wyjaśniali. Starali się także o utrzymanie stałego kontaktu z widownią przez kierowanie bezpośrednich słów do dzieci w postaci: Józek, dlaczego się śmiejesz? Dzieci automatycznie patrzą po sobie i usiłują wywnioskować do kogo skierowane są słowa aktora. Teatr kukiełkowy wprowadza niewątpliwie niedoświadczonego widza w sferę konwencji teatralnej, uczula go na działanie środków wyrazu, ma za zadanie kształtować smak, dziecko wynosi z niego doświadczenie i naukę ułatwiające mu później poruszanie się w kręgach sztuki.

W celu zachęcenia młodego widza do brania częstszego udziału w przedstawieniach teatr będzie w przyszłości produkował własnym kosztem laleczki wyobrażające Kacperka i rozdawał je dzieciom. Zdarza się często, że po skończonym przedstawieniu dzieci chcą obejrzeć z bliska owe laleczki i czasem nie chcą ich oddać, wtedy aktorzy będą mogli obdarować je takimi właśnie Kacperkami.

W chwili obecnej zespół artystyczny teatru liczy 13 osób, w tym znajduje się kierownik artystyczny, reżyser i muzyk, a w nowym sezonie powiększy się o 3 osoby, co zagwarantuje większą aktywność usługową i rozszerzenie kręgu działalności. Na warsztacie aktorskim teatru znajduje się w chwili obecnej pozycja repertuarowa mówiąca o działalności partyzanckiej i udziale żołnierzy radzieckich w walce przeciw okupantowi hitlerowskiemu pt. „Mały partyzant". **(mt)**

Maria Konopnicka — „O krasnoludkach i sierotce Marysi". Adaptacja: dyr. Maria Siedmiograj. Scenografia: Jerzy Szymański. Muzyka: Zbigniew Jeżewski. Reżyser: Stefan Stojakowski. Udział biorą: Stefania Górniak, Bogumiła Niska, Jolanta Nort, Barbara Chmiel, Anna Maczuga, Michał Walaszek.

Monika Warneńska: DALEKIE GWIAZDY. MON, s. 180, cena 9 zł.

Przyczyną napisania tego opowiadania była autentyczna rozmowa autorki z Zenonem Czechem, Polakiem, który przeszedł wiele w okresie II wojny światowej. Był żołnierzem, skoczkiem spadochronowym, konspiratorem, zwiadowcą, więźniem hitlerowskim. Przeżył wiele w Polsce, ZSRR i Czechosłowacji. Zmarł w 1964 r. Życie tylko mogło być takim reżyserem „przygodowej" książki.

Jerzy Chocilowski: TAM, GDZIE WOJNA. Iskry, s. 328, cena 12 zł.

Rośnie niestety stale literatura o okrutnej wojnie w Wietnamie. Rośnie, bo wojna się przedłuża... Opisywane w książce wydarzenia dotyczą lat 1964—1965, a rozgrywają się w Wietnamie północnym i południowym. Relacje naocznego świadka jednej z najokrutniejszych wojen. Liczne ilustracje.

Roman Bratny: PRZESZŁO, NIE MINĘŁO. MON, s. 384, cena 26 zł.

Autor pisze o książce: „...krótkie powieści, czy opowiadania podporządkowane są jednej sprawie objętej tytułowym skrótem... Bo zawsze piszę tu o człowieku poszukującym siebie po okrutnym i wciąż w nim trwającym doświadczeniu wojny". W tym wyborze prozy sześć utworów autora „Kolumbów".

Andrzej Kaniecki: OSTATNIE SALWY. MON, s. 423, cena 20 zł.

Część pierwsza nosi tytuł „Powroty". Omawiany pamiętnik oficera I Armii WP zaczyna się nad Wisłą, potem razem z autorem forsujemy Wał Pomorski, przeprawiamy się przez Kanał Hohenzollernów, zdobywamy Berlin. Historia, którą opisało życie.

Jurij Korolkow: OPERACJA „RAMSAY". **Opowieść o Richardzie Sorge.** KiW, s. 304, cena 20 zł. Tłum. A. Kozłowski.

Spopularyzował tę postać film. Pisały o tym niezwykłym człowieku niektóre periodyki. Do dziś jednak zagadka śmierci tego radzieckiego wywiadowcy nie jest w pełni wyjaśniona. Radziecki wywiad na Dalekim Wschodzie. Walka z kontrwywiadem niemieckim i japońskim. Kim był dr Sorge. Radzę przeczytać.

Jurij Pantielejew: MORSKI FRONT. Tłum. Z. Grabowski. MON, s. 414, cena 22 zł.

Znamy wiele szczegółów bitew lądowych na wielu frontach II wojny światowej. Znamy trasy konwojów na drugą półkulę czy do Murmańska. Tym razem prezentujemy pamiętnik szefa sztabu Floty Bałtyckiej. Ale nie mniej ciekawe to sprawy. Pełne niewiarygodnych przygód operacje radzieckich okrętów podwodnych, walka o odblokowanie Leningradu, oto niektóre tylko momenty tej pasjonującej nie tylko marynistów książki.

Konstanty Badigin: NA ZATOPIONYM OKRĘCIE. Tłum. M. Zydler. Wyd. Morskie, s. 342, cena 30 zł.

Sensacyjna to prawie akcja. Ostatnie dni oblężonego przez Rosjan Królewca. Niemcy ukrywają bezcenne skarby muzealne. Przygotowują ludzi do oddziałów Wehrwolfu. O sytuacji w radzieckiej Litwie tuż po II wojnie światowej. O likwidacji resztek faszyzmu.

Jan Piepka: DZIERZBY W GŁOGACH. MON, s. 224, cena 12 zł.

„Opowieść... wyrosła z doświadczenia. Może okrutnego, ale dotyczącego wielu Polaków. Na kartach książki starałem się oddać życiorys jednego z moich krajanów, przekazany mi w bezpośrednich rozmowach, życiorys człowieka „uwięzionego w Wehrmachcie", pisze o swej książce Jan Piepka. Mowa o Kaszubach i ich drogach do Polski.

NOWOŚCI PAŃSTWOWEGO WYDAWNICTWA NAUKOWEGO:

Jean Gimpel: JAK BUDOWANO W ŚREDNIOWIECZU. Tłum. J. Aleksandrowicz. S. 176, cena 10 zł. „Omega".

Francuski autor pokazuje średniowieczne budownictwo sakralne na tle związanych z nim zagadnień artystycznych, technicznych, społecznych i ideologicznych.

Asger Aaboe: MATEMATYKA W STAROŻYTNOŚCI. Tłum. R. Ramer. S. 144, cena 10 zł. „Omega".

Przystępne omówienie początków rozwoju matematyki. Matematyka babilońska i grecka, odkrycia Archimedesa i Ptolomeusza.

Stanisław Brodzki: CZARNY PROBLEM USA. S. 216, cena 10 zł. „Omega".

Kwestia murzyńska w USA w aspekcie historycznym na tle kultury i obyczajowości amerykańskiej.

WIEK ELEKTRONIKI. Pod red. C. F. J. Overhageá. S. 339, cena 40 zł. Bibl. Problemów.

Obok historii, o radiolokacji, elektronicznych maszynach cyfrowych, radioastronomii, tranzystorach, maserach. Obok autorów angielskich Polacy.

Bruno Rossi: PROMIENIOWANIE KOSMICZNE. Tłum. A. K. Wróblewski. S. 320, cena 32 zł. Bibl. Problemów.

O pięćdziesięcioletniej historii zagadnienia, odkryciu cząstek elementarnych oraz nierozwiązanych jeszcze zagadnieniach dotyczących pochodzenia promieniowania kosmicznego.

Hubert i Mable Frings: MOWA ZWIERZĄT. Tłum. W. Serafiński. S. 252, cena 25 zł. Bibl. Problemów.

Z zakresu psychologii zwierząt. W jaki sposób zwierzęta porozumiewają się ze sobą. O typach ich mowy sygnałowej. Przywabianiu i rozpoznaniu seksualnym.

J. Z. Young: MODEL MÓZGU. Tłum. S. Bogusławski. S. 446, cena 30 zł.

Weryfikacja grupy hipotez dotyczących organizacji czynnościowej mózgu.

Filmy dla wszystkich

Krótki metraż na Krakowskich Festiwalach

Razem z tegorocznymi Dniami Krakowa zakończył się w wawelskim grodzie V Międzynarodowy Festiwal Filmów Krótkometrażowych. Kilka dni wcześniej odbył się tu Ogólnopolski Festiwal Filmowy krótkiego metrażu. Festiwale obrały sobie w bieżącym roku hasło — „Nasz wiek dwudziesty". Stąd też do udziału w Festiwalu zostały dopuszczone te filmy, które poprzez swój charakter humanistyczny, społeczny i artystyczny obrazują przemiany, tendencje i osiągnięcia współczesnego świata.

Najwyższą nagrodę na VIII Ogólnopolskim Festiwalu Grand Prix — otrzymał film pt. „Rok Franka W" Kazimierza Karabasza i Stanisława Nieabalskiego. Film ten, który mieliśmy już okazję oglądać na ekranach kin rzeszowskich, ukazuje rozwój i awans młodego chłopca w Polsce Ludowej.

Do Konkursu V Międzynarodowego Festiwalu zgłosiły swoje filmy 32 kraje. Komisja selekcyjna zakwalifikowała 71 filmów z 23 krajów. I nagrodę ministra kultury i sztuki Grand Prix — w postaci „Złotego Smoka" przyznano filmowi „Zamki na piasku" produkcji radzieckiej w reżyserii J. Bronsztejna i A. Widugirisa. Ten piękny i poetycki obraz ukazuje wyobraźnię dziecka i konfrontuje ją z realizmem dorosłych. Decyzja jury została z gorącym aplauzem przyjęta przez widownię, która wielokrotnie oklaskiwała film w czasie projekcji.

Nagrodę specjalną Przewodniczącego Prezydium Rady Narodowej m. Krakowa — „Złoty Smok" — otrzymał animowany film węgierski „Koncertissimo" reż. J. Denesa — za niezwykle celne i lapidarne ukazanie w satyrycznym żarcie niebezpieczeństw, jakie grożą naszej cywilizacji.

Cztery równorzędne nagrody główne w postaci „Srebrnego Smoka" przyznano filmom: „Piknik w niedzielę" — Jugosławia, „Czas przemiany" — Polska, „Koniec pewnej rewolucji" — W. Brytania i „Plotkarze" — Czechosłowacja.

Nagrodę FAO — Organizacji do Spraw Wyżywienia i Rolnictwa ONZ — otrzymał film włoski „Bandyci z Barbagia".

Jury nagrody FIPRESCI — Międzynarodowej Federacji Prasy Filmowej przyznało swą nagrodę ex aequo dwóm filmom — „Mam 20 lat" — Indie i „Koniec pewnej rewolucji" — W. Brytania.

Po raz pierwszy w tym roku na krakowskim festiwalu została przyznana nagroda Międzynarodowego Komitetu Upowszechniania Nauki i Sztuki poprzez Film — CIDALC. Nagrodę tę w postaci „Srebrnego Medalu" otrzymał film radziecki — „Zamki na piasku". Równocześnie film ten został zakwalifikowany na doroczną sesję CIDALC w dniu 8 grudnia 1968 r. w Paryżu.

Na przykładzie chociażby udziału jury tych Międzynarodowych Organizacji — FAO, FIPRESCI i CIDALC można stwierdzić, że Krakowskie Festiwale Filmowe uzyskują coraz poważniejszą rangę międzynarodową. Tylko zagranicznych gości przybyło w tym roku blisko 350 (w tym ponad 100 dziennikarzy i krytyków filmowych). Brały udział oficjalne delegacje kinematografii: ZSRR, NRD, CSRS, Węgier, Rumunii, Bułgarii.

Warto również wspomnieć, że Kraków coraz gościnniej i okazalej przyjmuje festiwalowych gości. Biura Festiwali, które początkowo mieściły się w kilku skromnych pokoikach Grand Hotelu, obecnie są o wiele obszerniejsze i lepiej wyposażone. Oddzielnie mieszczą się Biura Prasowe i Redakcja wielojęzycznego Filmowego Serwisu Prasowego.

Projekcje odbywają się w przepięknym, supernowoczesnym kinie „Kijów" dysponującym aparaturą projekcyjną na taśmie 70 mm i dźwiękiem stereofonicznym.

VIII Ogólnopolski i V Międzynarodowy Festiwale Filmów Krótkometrażowych są za nami. Wypada tylko życzyć sobie, aby te filmy starannie dobrane, jako tzw. dodatki do filmów fabularnych, wzbogacały repertuar naszych kin. Nie ulega wątpliwości, że współczesnych filmów krótkometrażowych nie można traktować jako dodatków. Są one bowiem bardzo często pełnowartościowym dziełem sztuki filmowej, odzwierciedlającym życie współczesnego świata.

L. R.

STANISŁAW INGLOT — kierownik ZDK w Krośnie.
Rys. J. SIENKIEWICZ

Z „Czterema Pancernymi" w kieszeni

Maszyny łódzkiej drukarni dziełowej opuści wkrótce 3-milionowy egzemplarz „kieszonkowca". Praktyczne w formacie i atrakcyjne w cenie (9 złotych), tomiki przyczyniły się do znacznego upowszechnienia najciekawszych pozycji literatury. A oto niektóre z tytułów znajdujących się obecnie w przygotowaniu: „Czterej Pancerni" Janusza Przymanowskiego, „Eden" Stanisława Lema i „Lord Jim" Józefa Conrada. Na ukończeniu znajduje się druk wartościowej ilustrowanej pozycji w wydaniu kieszonkowym „Przez stulecia" Stanisława Aleksandrzaka i Mariana Wadeckiego. Są to opowiadania przybliżające młodzieży najważniejsze wydarzenia z dziejów ojczystych. Brak takiego przystępnego zbioru dawał się odczuwać w środowisku młodych czytelników, uczniów szkół podstawowych i średnich.

Ciekawym wydarzeniem wydawniczym będzie również druk najnowszego wydania „Pana Wołodyjowskiego" Sienkiewicza, przygotowywany obecnie w innej tutejszej drukarni — Łódzkich Zakładach Graficznych. Będzie ono illustrowane zdjęciami z ekranizacji tej powieści.

II MIĘDZYNARODOWE BIENNALE GRAFIKI W KRAKOWIE

Krakowska graficzka Danuta Leszczyńska-Kluza oraz jedna z jej prac „Powrót z polowania". (Nagroda m. Szczecina). *CAF — Piotrowski*

Kartki dla Ewy

TRÓJKĄTY

Trójkąty dzielimy na sferyczne, płaskie i... małżeńskie. Pierwszymi interesował się Tales z Miletu, Pitagoras i cała plejada matematyków. Małżeńskie bywały domeną pisarzy i mniej natchnionych plotkarek. Zdarza się jednak, że nie będąc poetkami i matematyczkami zmuszone jesteśmy do zainteresowania się trójkątem, a to z przyczyn nader osobistych, kiedy stajemy się jednym z jego ramion. Bywa, że pan małżonek emabluje smukłonogiego kociaka, bywa i żona nie bez winy. Zaczyna się od wymownych spojrzeń, które świadczą o tym, że wyczerpała się skala doznań związanych z dotychczasowym partnerem. Zaczyna się od spojrzeń, bo człowiek w pierwszym rzędzie reaguje na bodźce optyczne, inne docierają do niego z pewnym opóźnieniem. Dlatego akcję przeciwtrójkątową trzeba prowadzić metodycznie, zanim strony mające się „k sobie" nie znajdą wspólnych zainteresowań filatelistyczno-fotograficznych, które skłonią je do wzajemnego demonstrowania albumów, klaserów itp. Tego typu „hobby" uprawia się na ogół w zacisznych kącikach i raczej bez świadków.

W tym celu zagrożeni panowie, eleganccy dotychczas tylko poza własnym domem również w obliczu prawowitej małżonki rezygnują z dłubania w zębach i snucia się w trykotowych inekspryma blach po pokoju, kuchni i przyległościach. Ojciec dzieciom udający niemowlaka w śpioszkach nie jest widokiem godnym pożądania. Po pewnej ilości takich spektakli ostudzi nawet serce Penelopy.

Obowiązuje jednak wzajemność i dlatego żona, której mąż ustąpi w autobusie miejsca „prześlicznej dwudziestoletniej", po przyjściu do domu nie wyperswadowuje mężowi galanterii za pomocą wałka do ciasta. Te sceny rezerwują dla siebie klepscy satyrycy. Zamiast tego należy wywalić na śmietnik przydeptane pantofle i stary szlafrok, zrezygnować z antyreumatycznej kiecki przerobionej z lodenowego płaszcza, pozbyć się zabytkowych barchanowych koszul i trykotowego lejbika, który upodabnia nas do zebry. Wynosząc to wszystko na śmietnik można mruczeć pod nosem takie lub inne zaklęcia, ale po przyjściu do mieszkania uśmiechnąć się do męża. Przełamać również dane nam skąpstwo i bez drgnienia oka przeznaczyć uciułane koperniki na fryzjera i nowy kapelusz, lepiej bez ogródka warzywnego na rondku. Włosy w strąkach stały się praprzyczyną klęski niejednej kobiety, gdyż wokoło nas kręci się mnóstwo ładnie uczesanych dziewcząt.

Człowiek jest stworzeniem wiecznie łaknącym zmian i podniet. Nic w tym dziwnego, tak skonstruowana jest nasza psychika. Od tysiącleci mężczyźni chcą być uwielbiani za swoją siłę, odwagę oraz intelekt, kobiety zawsze i wszędzie pragną wzbudzać zachwyt, pożądanie i uwielbienie.

Mężczyźni — jeżeli wasza żona podoba się innym, jeżeli wzbudza zainteresowanie — cieszcie się! Jest o wiele więcej warta niż myślicie, warto o nią walczyć w dalszym ciągu.

Kobiety — wasz mąż jest obiegany w towarzystwie przez płeć piękną, której nie zraża jego malownicza łysina. Nie umiałyście go docenić, macie jeszcze czas naprawić swój błąd, zatroszczyć się o tę waszą „gorszą połowę", a nawet okazać podziw. Potrafi to docenić, zapewniam!

Całe życie pragniemy miłości. Szukamy jej w starych piosenkach, w zapachu kwiatów. Jesteśmy w gruncie rzeczy sentymentalne, choć nie przyznajemy się do tego. Na codzień wygłaszamy trzeźwe sądy: „miłość to dobre dla smarkaczy"; „przygoda — to niepoważne". Gorszą nas ludzie dojrzali, dorośli wplątani w klasyczne układy trójkąta. Czasami jednak w cichości ducha myślimy z żalem: „życie przechodzi obok nas w wydeptanych pantoflach"...

O miłość tymczasem należy dbać jak o kwiaty w doniczce. Systematycznie, codziennie i z poświęceniem. Tylko wtedy bywa piękna i dla nas.

Bega

ZDARZENIA TYGODNIA

Amatorskie zespoły teatralne, a w szczególności wiejskie przygotowują swoje programy w okresie miesięcy jesienno-zimowych. Powiatowe domy kultury i wydziały kultury woj. rzeszowskiego pragnąc umożliwić tym zespołom konfrontację ich osiągnięć zorganizowały w tym roku powiatowe przeglądy dorobku amatorskiego ruchu teatralnego.

W poprzednich numerach informowaliśmy już o ich przebiegu w powiatach: jarosławskim, dębickim i lubaczowskim. Dziś odnotowujemy uczestników przeglądu w Jaśle. Brały w nim udział zespoły z Łazów Dębowieckich, Opacianki, Bieździedzy, Osobnicy, Majscowej, Łubienki, Niepił, Lipnicy Górnej, Szerzyn, Kołaczyc, Sowiny, Sieklówki i PDK Jasło.

* * *

W ostatnich dniach ukazało się interesujące wydawnictwo Rzeszowskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk i Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Rzeszowie pt. „Wilhelm Mach — człowiek i pisarz". Zawiera ono zbiór rozpraw i artykułów, dotyczących pisarza, wygłoszonych i podanych w formie komunikatów na sesji naukowej, jaka odbyła się w ubiegłym roku z okazji Dni Rzeszowa.

Informując o ukazaniu się nowej książki, która wyszła z maszyn Rzeszowskich Zakładów Graficznych warto jeszcze podkreślić, że wydana ona została z zasiłku Wydziału Kultury Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Rzeszowie.

* * *

Zarząd Okręgu Związku Zawodowego Pracowników Służby Zdrowia przy współpracy Inspektoratu Średnich Szkół Medycznych Wydziału Zdrowia Prez. WRN w Rzeszowie zorganizowały przegląd wojewódzki zespołów artystycznych z podległych resortowi szkół.

W ramach IV wojewódzkiego przeglądu zespołów artystycznych średnich szkół muzycznych w rzeszowskim Domu Kolejarza, 9 bm. wystąpiły zespoły z Państwowej Szkoły Pielęgniarstwa i Położnych w Przemyślu, Państwowej Szkoły Medycznej Techników Analityki i Farmacji w Przemyślu, Państwowej Szkoły Pielęgniarstwa Psychiatrycznego w Jarosławiu oraz Liceów Medycznych Pielęgnarstwa w Łańcucie i Sanoku. Prezentowały one programy przygotowane z okazji 25 rocznicy ludowego Wojska Polskiego, a najlepsze z nich przedstawiły: przemyska szkoła pielęgniarstwa i położnych oraz znane już „Witaminki" z Liceum Medycznego w Łańcucie.

* * *

Niektóre inicjatywy placówek kulturalnych i instytucji świadczą o tym, że coraz więcej uwagi poświęca się właściwemu wykorzystaniu czasu wolnego po pracy. Przykładem tego jest choćby ostatnie szkolenie aktywu k.o., z powiatu lubaczowskiego, jakie odbyło się w dniach 8—9 bm. w Horyńcu-Zdroju.

Kierownicy świetlic PGR, gospodarze wiejskich klubów i członkowie ich rad społecznych zapoznali się z możliwościami i sposobami organizacji wypoczynku na wolnym powietrzu. Przeprowadzono na ten temat kilka wykładów oraz odbyły się zajęcia praktyczne.

Szkolenie zorganizował lubaczowski PDK przy współpracy „Ruchu" i PZGS.

* * *

Różne są jubileusze. Ten na pewno zasługuje na odnotowanie. Otóż w tym roku Antoni Grochowski z Jasła obchodzi 50-lecie uczestnictwa w amatorskim ruchu teatralnym, a konkretnie w robotniczych zespołach. Warto przypomnieć, że z tej okazji został on odznaczony w tym roku podczas Dnia Działacza Kultury Złotym Krzyżem Zasługi.

Jubileusz ten uczciło również Koło Miłośników Teatru przy Klubie Zw. Zaw. Kolejarzy w Jaśle, organizując w dniu 12 bm. spotkanie z nestorem sceny amatorskiej.

* * *

Rzeszowskie Biuro Wystaw Artystycznych prowadzi szeroko zakrojoną akcję popularyzacji sztuki wśród społeczeństwa. Oprócz ekspozycji w Domu Sztuki chętni mogą zawsze obejrzeć coś interesującego z tej dziedziny w placówkach swojej miejscowości.

I tak np. ostatnio w Przemyślu czynna była wystawa „Pejzaż miejski w grafice polskiej". W Rymanowie (Klub Młodego Rolnika) wystawiał swe prace Z. H. Rachwalski, a w sanockim Klubie Naftowca prezentowali swoją grafikę Zygmunt Czyż i Józef Gazda.